

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 14 CZERWCA 1930 ROKU

NR. 24

TREŚĆ NUMERU: Inteligencki proletarjat kobiet — *Herminja Naglerowa*. Osiedle szkolne na wsi — *J. Pułtacz-Surynowa*. Poezje: „Łaska” — *Felicja Kruszevska*. Babuńka (dok.) — *M. H. Szpyrkówna*. Migawki — *Maga*. Z książek — *S. P. O. Z teatrów* — *S. P. O.* Jak się rozwijają — *N. J.* Kobieta w świecie i w domu. Zwyczaje towarzyskie i dobry ton — *Mary*. Dyskusja z konieczności — *Prof. Feliks Teodorowicz*. Morwa biała (dok.) — *M. Saryusz-Stokorska*. Napoje chłodzące — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Lato w mieście — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie” — *Zofja Reutt-Witkowska*. Dodatek „Kultura Ciała”. Arkusz wzorów.

INTELIGENCKI PROLETARJAT KOBIET

Powtarzamy sobie bezustannie, ile i co zdobyliśmy na „nieprzyjaciela”. Zestawiamy i ogłaszamy listę spójów wojennych. Jesteśmy dumne ze zwycięstw, które odnosimy. Ale jednocześnie jesteśmy trochę oślepione sukcesami i trochę też skłonne do optymizmu. Bo wcale nie dzieje się nam tak dobrze, wcale tak dobrze nie jest wśród nas samych, a przesąd, ten „nieprzyjaciel” właśnie, siedzi jeszcze mocno w swoich twierdzach, ba! ma swoje twierdze wśród nas, na naszym terytorjum.

Trzeba jednak te przenośnie, choć aż nadto zrozumiałe, wesprzeć pospolitą mową, przykładem, czemś „wziętem z życia” i autentycznym.

Do przełożonej gimnazjum żeńskiego zgłasza się wykwalifikowana nauczycielka, skierowana tu przez kolegę (zwracam uwagę: — kolegę!). Wakuje właśnie posada nauczyciela (powiedzmy — historii). DIALOG jest krótki i węzłowaty, a pouczający:

Przełożona (z miną odrazu niweczącą): Pani — „w sprawie”?

Nauczycielka: „W sprawie” lekcji, lekcji historii.

Przełożona: Wolne są tylko lekcje w wyższych klasach, a te „zasadniczo” dajemy panom.

Nauczycielka: Tak? Dlaczego?

Przełożona: Powiedziałam. Z zasady. Ze względów pedagogicznych. Ze względów wychowawczych. Panienki wolą nauczycieli-mężczyzn. Pani rozumie...

Nauczycielka (która chyba jeszcze nie rozumie): Proszę pani, to przecież gimnazjum żeńskie?

Przełożona: Oczywiście. I właśnie dlatego do wyższych klas nadaje się tylko mężczyzna. To wzmacnia ambicję dziewczynek.

Nauczycielka (nie chce wszczynać dyskusji pedagogicznej): Tak, ale, gdzie my będziemy uczyły, skoro w szkole żeńskiej nas nie chcą? I poco wogóle te żeńskie gimnazja, skoro potem po ukończeniu gimnazjum pani sama nie zechce dać lekcji u siebie swoim byłym wychowankom?

Przełożona (nie chce się wdawać w dyskusje społeczne): Żałuję bardzo, ale takie są nasze zasady. A zresztą i rodzice uczennic wołają, gdy w wyższych klasach mężczyźni udzielają lekcji.

Wobec takiego dictum acerbum, dictum, popartego całą wagą bytu, istnienia, finansowych podstaw prywatnego gimnazjum żeńskiego — petentka wycofuje się z gabinetu pani przełożonej.

Są jednak jakieś ciągi dalsze tej „sprawy”, bo ciąg dalszy, rozgrywający się na terenie szkoły, i ciąg dalszy dla szukającej pracy nauczycielki. Szkoła angażuje, w myśl swojej zasady, świeżo upieczonego nauczyciela (tańszy, bo nie ma owych „trzyleci”, podwyższających normę płacy), młodzika, który nie ma jeszcze żadnej praktyki pedagogicznej, który z początku rumieni się w klasie, a potem źle uczy, w najlepszym razie — flirtuje z podlotkami. „Odpalona” nauczycielka natomiast obnosi swoje kwalifikacje od gimnazjum do gimnazjum.

Ale w zawodzie nauczycielskim nie jest jeszcze tak źle. Wiadomo: — „kobieta nadaje się” do tego zawodu. Wiadomo również, że 70 procent maturzystek chmarą wali na filozofję i jakoś tam potem żyją z tego, albo i nie żyją. Bo ostatecznie kontyngens nauczycielski jest przepełniony i o posady coraz trudniej. Zresztą na którymś semestrze połowa studentek prze-

rywa studja i idzie — do biura. Byle odrazu coś mieć, byle 150, 200 zł. zarobić. A gdy już raz ugrzęźnie w biurze, gdy się już przysiedzie do Remingtona czy Underwooda — zamyka się karjera. Żadnych awansów, żadnych widoków — szaro, nędznie, głupio i beznadziejnie. No i wyzysk! I wogóle — kimże jest? Biuralistką, maszynistką! Na państwowej posadzie kategorja najniższa, na prywatnej — osoba, która się nie liczy. Bo i z jakiej racji? Konkurencja olbrzymia, na miejsce ustępującej — setki, tysiące kandydatek. Siedzi więc trusia na swoim krzeselku, drży przed szefem, przed byle „wyższym“ kolegą, bodaj przed wójnym. Polepszenie bytu? Osiąganie wyższych szczebli w hierarchji biurowej lub urzędniczej? Powoływanie się na, bądź co bądź, wyższe studja, a choćby tylko maturę?

— Niech pani lepiej cicho siedzi i będzie zadowolona, że ma posadę!

Buntownica, która z tej posady utrzymuje siebie, czasem rodzinę (nie śmiejmy się — czasem rodziców, czasem siebie i dziecko, bo mąż ją porzucił, albo umarł), więc właśnie ta buntownica jeszcze próbuje: Możeby tak solidarnie, razem. Możeby z prośbą, z przedstawieniem naszej sytuacji do dyrektora.

Mówi: podwyżka, dotrzymanie umów, nie wyzyskiwanie. Mówi: awans. Przecież po kilku latach pracy w tem samym biurze mogłaby awansować. Ma przecież maturę, parę semestrów uniwersytetu, ma dostateczne kwalifikacje na — urzędniczkę. Ale te inne, które dziękują Bogu, że mają posadę (150, 200 zł. miesięcznie), nie chcą się narażać. Niczego nie chcą, nie wolno im mieć ani żądań, ani ambicji. Nie umieją sobie poradzić, nie potrafią się „postawić“. Świadomie i podświadomie wyczuwają swoją słabość, że, jako kobiety, są mniejwartościową siłą roboczą — oczywiście, w mniemaniu panów szefów. Już przywykły do tego, już się nie oburzają. Są kobietami, tak już ich los!

Solidarność? Nie, kobiety nie są solidarne. Brak im tej społecznej mądrości, jaką właśnie jest solidarność. Zaczem idzie ten wieczny lęk, który paczy, wykrzywia charakter, który z pracownicy robi niewolnicę. Lękają się własnego cienia, aż wreszcie ulegają apatji, pracują bez zapału (posłuchajcie tylko, co mówią panowie szefowie o pracy kobiet, o tych wszystkich „niższych“ urzędniczkach! Posłuchajcie tylko, jakie stąd wnioski na temat pracy i wogóle zdolności kobiet!), pracują, byle zbyć, dziś, jutro, pojutrze tak samo i to samo. Posada i nic więcej. Dążyć, iść naprzód, patrzeć wyżej? Nie, nie, nie! Ryzykować? Nie, niech już będzie szaro, szaro, szaro, niech już cichutko, w kąciuku. A jeżeli już karjera (oh, pozwólcież mi powiedzieć przykrą prawdę!) jeżeli już karjera — to dawnym, znanym, wypróbowanym sposobem: „zrobić oko do szefa“.

Proszę sobie rozwinać ten „temat oka“, tak zwyczajnie, po plotkarsku, po babsku. Bo właśnie — naj-

łatwiej tędy prowadzi droga, szanowne panie. I proszę też odrazu, jednym tchem wyrecytować wszystko, co się mówi i pisze o godności ludzkiej tej nowej, wyzwolonej, zwycięskiej kobiety. Tak, cały ten arsenał feministyczny, te wszystkie „hasła“, „rewolucje“, „ewolucje“.

Zapewne są takie, które doszły. Na palcach rąk można je policzyć. Te wiedzą: ambicja, walka. Stoją sobie u szczytu i mówią: kobiety zwyciężyły. Pluralis maiestaticus. Formuła — gramatyczna. Doprawdy, nie więcej. Bo masa pracujących kobiet, ta czerń, która się mrowi we wszelakich biurach, nie zaświadczy temu zwycięstwu. Z domu, z kuchni, z panieńskiego „czekania“ przeszły hurmą do biur, na głódówkę i stępienie. Nie wiem, czy zrobiły tak świetną zamianę, nie widzę ich wyzwolenia. Tyle tylko, że mają za sobą gimnazjum (osiem lat kucia), mają maturę (nerwowy wstrząs), mają za sobą jakieś szczytne nadzieje, mrzonki, plany (skończę uniwersytet!), mają jakieś niewyzyskane zdolności, młodą energję — tak, wszystko mają już za sobą. Nie chcę tu zestawiać karier męskich z kobiecemi, bo i tak to „bije w oczy“. Nie chcę też tu obwiniać pracodawców, bo to należy do innej społecznej „gałęzi“. Chcę tylko powiedzieć, że kobiety są winne. Ich bierność, przesadny lęk, niesolidarność, niechęć do organizowania się, zrzeszania.

Wiemy: na wyżynach genjusz kobiety świeci jasno, indywidualnie „osiąga się, osiągnęło rezultaty“. Ale niżej, nisko? Tem więc trzeba się zająć. Coprędeż! Pracującą masę kobiet, „umysłowo“ pracującą masę trzeba ratować od zguby. „Zguba“ — sądzicie pewnie, że to za mocne słowo? Jest jeszcze inne, mocniejsze, groźniejsze, bo odnoszące się do naszej sprawy ogólnej: — klęska. Klęską ruchu kobiecego jest bowiem takie zwycięstwo „prawa do pracy“.

Sądzę, że w „Mównicy“ „Bluszczu“ zabiorą głos kobiety, które należą do tej masy, licznej, już jak piassek w morzu. Chcemy wiedzieć, co myślą o swojej złej doli, chcemy posłyszeć ich żywy głos. A jeżeli za ostro pisałam o nich, niech mi wybaczą. Widziałam fragmenty z ich życia i — przeraziłam się. Przeraziła mnie ich dola i ich wina. Inteligencki proletarijat kobiet — powtarzam — to przecież klęska, katastrofa ruchu kobiecego. Sądzę zresztą, że mój „przykry“ artykuł jest właśnie „na czasie“. Tysiące dziewcząt zdało właśnie egzamin dojrzałości i wnet pomnożą inteligencki proletarijat, te szare, zbiedzone masy bezzawodowców. Niech się więc dobrze namyślą, czy uniwersytet, czy jakiś bardziej konkretny „fach“. A jeśli już koniecznie mają skończyć na karierze „biuralistki“ niechże naprawdę potraktują ją fachowo, niech się przygotowują do zawodu stenografki, korespondentki, aby później nie wegetować beznadziejnie w charakterze niewykwalifikowanego „popychadła biurowego“.

Trzeba jakoś bardziej realnie ustosunkować się do istniejących warunków życia. Herminja Naglerowa.



Lekcje rysunku i malarstwa w plenerze. Dziewczęta szkicują pasiekę.

J. PUTIATYCZ-SURYNOWA

OSIEDLE SZKOLNE NA WSI

Szkolnictwo przed wojną i teraz. — „Panienkowe krzyczenie”. — Współpraca szkoły z domem. — Osiedle. — „Kluski i kaszki na mleku”. — Lekcje w cieniu drzem. — Pracownia eksperymentalna charakterów. — Inspekcja sanitarna. — Śpią jasne i ciemne glóroki.

Jakże to inaczej uczyłyśmy się przed wojną!

Kazano nam siedzieć w dusznych klasach od godziny 9-ej do 3-ej. O gimnastyce, sportach i „osiedlach” nikt nawet nie mówił.

Teraz jest inaczej — lepiej i słoneczniej.

Córki nasze już nie czują tego narodowego i moralnego ucisku, który myśmy czuły. Niema już rewizyj szkolnych, dzwonek alarmujących i rosyjskich inspektorów. Zamiast „dam klasowych” — są „wychowawczynie”, a zamiast „pani od polskiego” — poprostu „panna Apolonja” (poufniej zwana „Miss Polonja”). A kiedy zakwitną bzy i jabłonie, a potem kasztany i akacje — to nasze dzieci to zobaczą i nie będą ani zamknięte w czterech ścianach klasowych, ani stłoczone w dusznych salach rekreacyjnych, bo teraz jest... inaczej!

Nie wszystkie, coprawda, pensje posiadają już swoje osiedla na wsi; kilka

jednak — między innymi gimnazjum p. Gepnerówny (o którym chcę pisać) i p. Platerówny — posiadają już swoje wille pod Warszawą.

Istnieją pozatem średnie szkoły, stale funkcjonujące na wsi w okolicach Warszawy, np. szkoła koelekcyjna pań Domańskich w Konstancinie i inne.



Po śniadaniu panienki same myją naczynia.

* * *
Wszystkie klasy kolei wyjeżdżają na 7 do 10 dni na wieś.

Radość niesłychana.

Cały wagon rozbrzmiewa śmiechem i nawoływaniem, a z okien wyglądają główki w białych beretach.

Coprawda, mój ordynans (odnoszący walizki mojej córki) twierdzi, „że cały pulk nie narobi tyle hałasu, co to panienkowe krzyczenie”, ale my, matki, cieszymy się z tego gwaru i z tej radości...

Pociąg rusza. Dziesiątki chusteczek wiewają w oknach i nikną w oddaleniu.

— Do widzenia!

W niedzielę wolno mamom i tatusiom przyjechać i odwiedzić swoje „pociechy“, więc:

— Do prędkiego zobaczenia!

* * *

Pani Przełożona w rozmowie ze mną podkreśla znaczenie „Osiedła“, jako czynnika ze wszech miar dodatniego, tak pod względem wychowania moralnego, jak i fizycznego. Współżycie dzieci z nauczycielką daje możność tej ostatniej poznać zdolności uczennic i właściwości ich charakterów. Na podstawie poczynionych obserwacji następuje ocena indywidualna poszczególnych osobników. Od zdolnej, a leniwej uczennicy wymagać się będzie więcej, niż od pracowitej, a niezdolnej. Roztargnienie i niedokładność, łatwe znużenie umysłowe — wszystko to znajdzie właściwy osąd. Współżycie koleżeńskie też da rezultaty, urobi charakter i oświeci ciemne i jasne strony. Dobry pedagog wyciągnie wnioski z obserwacji i, porozumiawszy się z rodzicami, zacznie „współpracę szkoły z domem“ nad dzieckiem. Bo musimy dojść do przekonania, my, matki, że nasze córki są inne od nas i że potrzebna nam jest ta „współpraca“ dla odslonięcia nieznanej psychiki współczesnego dziecka.

Nasze córki są inne, niż my, są od nas samodzielniejsze, szersze, weselsze i mniej sentymentalne. Nie są one ani lepsze, ani gorsze od nas, są —



Praca w ogrodzie — to ulubione zajęcie dziewczynek.

inne. Nie trzeba ich więc sądzić zbyt surowo. A „osiedle“ takie właśnie może się przyczynić w dużej mierze do sądu bezstronnego.

* * *

W świąteczne popołudnie jedziemy do „Osiedła“.

Z poza świerków i topoli wychyla się rozłożysta, drewniana willa. Wygląd prymitywny i bardzo swojski (w porównaniu z tego rodzaju zakładami, widzianymi przezemnie we Francji). Tego prymitywu nie uważam jednak za minus, przeciwnie: wykwiłt w tego rodzaju imprezach jest, podług mnie, zupełnie niewskazany.

Maj. Więc kwitną drzewa i czernięją świeżo skopaną ziemią grządki warzywne. Na obszernym placu, nad rozwieszoną siatką unosi się tęczowa piłka — tam i zpowrotem, tam i zpowrotem. Powiewają szybkim ruchem uniesione warkocze i krótko obcięte czuprynki.

Wewnątrz: duża, oszklona jadalnia i szeregi sypialni (po 4, 5 łóżek w jednej). Pokoiki są jasno malowane, łóżka białą zasłane. Widać, że tu mieszkają dziewczęta, bo wszędzie pełno kwiatów w wazonach i gałązek, przyczepionych do muru.

W kuchence wita mnie jedna z matek, która w tym roku „poświęciła się“ i zarządza gospodarstwem przez te 8 dni. Dzięki niej — dzieci mają odżywianie racjonalne



Jak niezwykle wyglądają na wiosennem tle formuły algebraiczne...

i zdrowe choć nie wykwintne. Dużo jarzyn i nabiału.

— Kluski i kaszki na mleku trochę nam się przykrzą — skarżą się dziewczęta.

Matki ich jednak skarżyć się napewno nie będą — przeciwnie, mogą najwyżej podziękować ich opiekunce za niebywałą wprost w przeciągu tygodnia poprawę wyglądu swych córek, których okrągłe, opalone twarzyczki tryskają rumieńcami zdrowia i uciechy.

Do wyglądu tego przyczyniają się w dużej mierze (oprócz odżywiania) — gimnastyka, zajęcia w ogrodzie (kopanie, flancowanie, grabienie, pielnie) i lekcje na świeżem powietrzu.

Te ostatnie nabierają specjalnego uroku w cieniu drzew. Trochę odrywa uwagę niezwykle, wiosniarne tło od: $ax^2 - bx + C = 0$ — ale zato podwójnie interesują lekcje przyrody na żywych pokazach i botaniki pod kwitnącą jabłonią oraz lekcje rysunku i malarstwa w „plenerze” (pasieka).

* * *

Widzimy więc, że wyjazd na „Osiedle” jest dużym krokiem naprzód na polu fizycznego wychowania młodzieży, a zarazem jest jakoby pracownią eksperymentalną charakterów.

Mówiąc o dodatnich stronach osiedla, nie mogę nie wspomnieć jeszcze o praktycznej jego stronie. Oto dziewczęta — w imię zasady „pieczone gołąbki nie idą same do gąbki” — zaścielają sobie same łóżka, sprzątają, jako dyżurne, wspólną sypialnię; muszą same myśleć o zmianie bielizny i o ewentualnem zacero-

waniu podartych pończoszek. Po śniadaniu myją naczyńia i zanoszą je na miejsce. Rezultat tych zabiegów taki: po powrocie do Warszawy nie drze się już tak pończoszek: „bo jednak taką dużą dziurę ciężko jest zacerować”, i ma się wyrozumiałość dla służby, która „musi robić takie niemiłe rzeczy, jak zmywanie i czyszczenie bucików”.

* * *

Słońce zachodzi.

Rodzice rozjeżdżają się pod miłym wrażeniem.

Już dzwonek na kolację („Ah! Boże... znów ta kaszka na mleku”). A potem „do łóżek!”

Ale nim to nastąpi, będzie można jeszcze zagrać w loteryjkę na werandzie, lub pojeździć na rowerze po ogrodzie, albo pobawić się „w berka”. A potem odmówi się jeszcze „Litanję do Matki Boskiej” przed ubranym kwiatami ołtarzykiem, bo to przecież: Maj!

Nim zalegnie nocna cisza w Osiedlu, dużo będzie jeszcze „układania się” do snu i tradycyjnego bicia się jaškami. Nim zalegnie nocna cisza, odbędzie się jeszcze ostatnia inspekcja sanitarna:

— Komu i co zajodynować?

— Komu wyjąć drzazgę?

— Komu wysmarować opierzechniętą twarz wazelina?

Innych środków medycznych (na szczęście) nie używa się w „Osiedlu”. I wkońcu... cicho... Ostatnie szepty ustały, ostatnie porachunki dzienne, sekrety i ploteczki. Cicho. Śpią jasne i ciemne główki i uśmiechają się przez sen usta...

FELICJA KRUSZEWSKA

ŁASKA

*Dnie za dniami kamieniały trroga,
serce w piersi było kamieniem.
Twarda była, ciężka była droga,
aż przykryła się zielonym cieniem.*

*Piersi żaden nagły piorun nie strzaskał,
oczu żadne nie olśniły zorze.
Deszcz nadpłynął i po bruku zaklaskał.
Zaszumiało, zapachniało... O Boże!*

*Kasztan szczęście z lepkich łusek rozwinął,
trzepotało się zielone i lotne.
Wiatr kamienne serce z piersi wyjął
— rzucił nisko między trawy wilgotne.*



M. H. SZPYRKÓWNA

B A B U Ń K A

(dokończenie)

2)

— A pani ekonomowa Rogulkowska, daleko nie szukając, choć jej już... wieleż to? Musi. pięćdziesiąty krzyżyk Pan Bóg zsyla, żeby już tych pięciu lat, co to powiada, że jej przez złość organista w metryce dopisał, nie liczyć? Te, te, te, tel... Prawda, że o pani ekonomowej, Józiuk, mosterdzieju, przy babuńce nam z tobą ani tego słoweczka powiedzieć nie wolno: chyba, żeby z pochwałą. I konfitury u pani ekonomowej najslodsze, i grzybki najtwardsze, i pani ekonomowa to, i pani ekonomowa tamto... Tylko z Dorotką Zajączków jakoś nie mogą sobie przypaść do gustu: kawalera nie podzieliły! Dopust Boży i już! Konkurenta lata razem z Dorotką złożyć, i te wątpliwe pięć, co to pani ekonomowa u siebie kwestjonuje, na dokładę dodać: to jeszcze i tak całej pani Rogulkowskiejby nie wyszło! Tybyś, serce, Marysiu, zamiast się na mnie srożyć, babie do rozumu przełożyła: co wiek, to wiek! Niech i Dorotce w jej osiemnaście lat da troszkę żyć!

Babuńka niespokojnie się porusza w fotelu.

— To ty już rybko, Leosiu, możesz iść. Sama

resztę rozłożę!... — powiada niepewnie do Leośki, która coraz to pochyła twarz i pocichutku prychnie z uciechy na dobrodusze docinki pana o grozie całej służby dworskiej — pani ekonomowej Rogulkowskiej. Ale zanim ma czas odejść, drzwi się otwierają i sama pani ekonomowa wkracza do jadalni. Jest krępa, czerstwa, rumiana, o sztucznie kręconych co wieczór, przed tualetą o różowych kokardach, loczkach, i z bystreimi oczkami, które z pod wyszczypanych brewek widzą wszystko i, jak dwa świderki, przenikają przeszkody.

— Moje uszanowanie panu sowietnikowi!... — mówi wykwintnie, dygając w kierunku dziadunia, z leciwym wdziękiem przysadkowatej postaci. — Sądziłam, że pan sowietnik już dawno stąd wyszedłszy, bo to, nie mówię tego przez dokukę, ale już czas i do stołu nakrywać. A! I Józiuczek tu jest! A któż to widział, żeby pańskie dziecko, jak jaki chłopinek, z nogami na stole siedziało? Że pan sowietnik przez dobroć na to uwagi nie zwraca, to jeszcze nie dowodzi. Niejeden z nas swoje rozumienie o innym ma, ale tego przez chrześcijańską naukę i subtelniejszą edukację nie wypowiada. I pończoszki od tego na kolanach się takóŜ przecierają. A Leośka znowu w muchołapkach herbaty nie zmieniła! Skaranie boskie z temi dziewczętami! Żeby do oficyny polecieć, gdzie panna Dorotka, tęsknotę widać małżeńską w sercu czując, kawalerów z całego powiatu gromadzi: na to każda z nich czas ma! A żeby pokoje uprzątnąć, o pożytku swoich dobrodziejów pamiętać, obowiązkowi, przez kościół święty nakazanego, dopilnować: to tego niema! Lawośka! A, Lawośka!... Znowu oleander suchy, jak ten pieprz, i lustro niewytarte? Na kiermasz iść, to pierwsza, a jak do obowiązku...

Leośka z tupotem nóg wypada, niosąc konew wody i ścierkę, i śpieszy na spotkanie nieszczęściu. Ma minę zrezygnowanej rozpacz i sapie ze wzburzenia, płosząc rzęsami łzy z ładnych oczu. Interwenjuje babunia.

— Serce, Adelko!... — dochodzi z pokoju obok drżący, słabowity jej głos, który jednak ma bezawodną właściwość łagodzenia wszelkich burz w małym Zukiszskowskim dworku a nawet i w przyległych zaściankach. — Serce, Adelko! Młoda, to i zapomni niejedno, a i moja w tem winna, bom ją do ziółek zabrała. Sprzątnie, sprzątnie, nie warto się alterować. Chodź lepiej do mnie i poradzim się: która kapa na prezent dla Pelasi byłaby lepsza? Bordowa wiązana, czy z kawalków w deseń? Bo to pan sowietnik, słysząc, z Józiuczkiem już się namawiają, jak pojedą do Wilna, do Ksawerego, żeby pożyczkę ziemską tam w ban-



„...Na klęczkachbym do Ostrej Bramy pielgrzymowała od samego ryłotu ulicy...”

ku zaciągnąć. Cóż? Daj im Boże! Żeby to człowiek był zdrow i o własnych nogach mógł chodzić, pojechałabym i ja, ciebie, rybeńko, na gospodarstwie zostawiwszy! Żeby jeszcze oczy moje raz Wilno przed śmiercią zobaczyły! I górę Zamkową, i katedrę!... I Rosę, gdzie rodzice, Panie świeć nad ich duszą!... są pochowani... Grzeszny jest człowiek i ułomny, i zawsze z dobra, jakie mu Pan Bóg daje, w swoim zaślepieniu i chciwości niezadowolony. Żyję przecież w sytości, dobrobycie i wszelkiej wygodzie, nawet fotel na kółkach Romusiek mi dwa lata temu z Witbska sprowadził. Gospodarstwo, dzięki Bogu, idzie, mąż zdrowy, Józiczek, jak ten wróbelek, wesolutki rośnie, nam starym na pociechę... od ciebie także mam i serca, i wszelkiego starania, że i trudno więcej: a markotno człowiekowi za światem, na który jego dziecinne oczy patrzyły! I zdaje się, oddałabym ja wszystko: i dobrobyt, i ludzkie poważanie, i tę wygodę, a zabrałabym, żeby Bóg litościwy dał zdrowie, tylko Józiczka ze sobą — i poszłabym! Z pielgrzymką, jak proste kobiety, którym to szczęście jest dostępne. Poszłabym do Ostrobramskiej!... Na klęczkach bym do świętej bramy pielgrzymowała od samego wylotu ulicy, gdzie to już widać przenaświętszy obraz, jak złote słońce koroną jaśniejący! A jakbym doszła, to bym nie nie mówiła, i o niczym nie prosiła, tylkobym padła na twarz i łzami płakała, że to szczęście jeszcze przed śmiercią Panna Najświętsza mi udostępniła! Tam przecież z rodzicami maleńka chodziłam, tam się spowiadałam, tam — głos babuni się załamuje — po ciężkim ciosie śluby wieczyste pragnęłam złożyć! Ha! Stało się inaczej! Tam i ślub nam z Romusiem ksiądz kanonik Czapelski, mój dawny asystent, dawał. Matka Ostrobramska o mnie wszystko wie. Ani czego szepciem wyszeptać, ani czego spowiedzią wypowiadać, ani czego łzami wypłakać, ani czego myślami wymyślić: Ona wszystko wie! I wszystkiemu jest litościwa!

Głos babuńki drży i załamuje się. Pani ekonomowa krząta się i zagaduje ją sprawami gospodarskimi, chytrze kierując rozmowę na kółdrę w deseń. A Józik w zamyśleniu, uważnymi oczami swojej siedmioletniej mądrości przygląda się łagodnej, bledziutkiej pod czarną koronką twarzy babuńki, jej spłoszonym, coś jakgdyby chwytającym z powietrza słabiotkami, choremi ruchami, rękami: jej zblakłym, teraz zaszklonym oczom — i kombinuje. Jest mężczyzną. Mowy niema, żeby mężczyzna płakał przy

jakiegokolwiek okazji, nawet, jeżeli go aż tak ścisła w gardle i pod powiekami czuje się nieprzyjemne pieczenie! Wysuwa się więc cichutko z poza fotela babuni do jadalni, gdzie dziaduń już skończył golenie i sprząta przybory do szuflady biurka ze skrytkami.

— A co, Józiuk, mosterdzieju?... — mruga figlarnie ku Józikowi. — Zadała nam pani ekonomowa pieprzu? Ho, ho! Przed taką to człowiek, jak ten koń na mustrze, do taktu tańczy i ani parsknąć się nie waży! I słodziutko wszystko to, przyjemniutko, jak lukrecyjka, mosterdzieju, z papryką. Już to jej nieboszczykowi musieli dać wieczny odpust, jak tylko się wylegitymował, inaczej niema i na tamtym świecie sprawiedliwości. A czegoż to jegomość, jak ten bąk, naburmuszony?

— Dziaduń!... — powiada Józik basem, jak zawsze, kiedy jest wzruszony. — A jak my do Wilna przyjedziem, to ja... ja pójdę do Matki Boskiej Ostrobramskiej. Żeby babunia mogła własnymi siłami do Wilna jeszcze pojechać! A panny Dorotki poproszę, to uplecie wieniec, jak co niedziela na ołtarz. Dziaduń! Co?

Dziaduń przerywa w pół drogi zawijanie brzytwy w „Gazetę Świąteczną“ i patrzy na Józika w zdumieniu.

— Razem pójdziemy: a któż to, do Wilna jadąc, Matce Boskiej się nie pokłoni?... — powiada zaskoczony. — Toćże człowiek nie poganin, żeby do świątyni, tyloma cudami słynącej, nie poszedł, swoje grzeszne prośby i nędze przed najświętsze sądy przedłożyć! A inne Dorotki już tam na miejscu o wieniec się potroszczą. Ale skądże to, mosterdzieju... obabiał mi chłopca, nie, tylko obabiał! Już człowiek ani pisnąć w swoim domu nie może, tak go kobiety wzięły w cugle. Widać już pani ekonomowa coś zdążyła naszeptać, ha? Ale co prawda to prawda: o Wilnie mówiąc, pierwszą rzeczą było nie o Ksawerku i nie o Pelasi, a o Matce Boskiej Ostrobramskiej powiedzieć i Jej pierwszej się pokłonić. A nawet ono wychodzi i po drodze: bo to, z dworca jadąc, pod samą Bramą się przejeżdża. Tam i koń sam stępa idzie, i żydowin w garści lisiatą czapę zdaleka niesie, wzgląd dla Najświętszej Panny, za Jej cuda i potęgę, mając. Co tu mówić: baby, jak baby: wredne to czasem bywa i jadowite, choćby i, nie wymawiając, nasza pani ekonomowa; ale dopokąd są na świecie takie babunie, jak nasza z tobą, Józiuk, mosterdzieju: to i conajgrzeszniejszy człowiek drogi do nieba nie zapomani! Ha?...



MIGAWKI

Upał, kurz, brud, wyziewy... Plac Żelaznej Bramy... Tłoczą się ludzie... W koszyku, na ziemi, rozłożona „księgarnia“. O parę kroków dalej toczy się „koło szczęścia“. Tam znoważ, w kształtnej karafce, zakrytej niklowaniem wieczkiem, nosi brudne, obdarte chłopczysko „mażagran“ czy kruszon. Woła coś w języku, niezrozumiałym dla tych, „którym nie było dane czytać w księgach“. Spragniony przechodzień radby wypić szklankę ożywczego płynu — 20 groszy. Idzie kolejka... I chociaż niklowane wieczko chroni od kurzu, szklanka krąży z ust do ust, wciąż jedna i ta sama...

* * *

Wchodzę do fryzjera. Tłok, jak zwykle, zawsze i wszędzie. „Pani łaskawa — dziesięć minut“... czekam cierpliwie. Dusząco... jak w północy, śledzę każdy ruch fryzjera... Operacja dobiega końca. „Jeszcze grzyweczkę — Ryszard, płaskie żelazko“ — a w antrakcie pan Feliks, mistrz „à la Garçonne“, czesze swoją bujną czuprynę grzebieniem, którym za chwilę będzie układać loki pięknej pani. Piękna pani nie reaguje na ten odruch. Uduje, że nie widzi. „Bo jakże? Pan Feliks, taki miły, tak sympatycznie umie rozmawiać — jeszczeby się obraził“...

Nie czekam dłużej — a grzebień, w pracowitych rękach pana Feliksa przewija się przez cały dzień przez tyle główek...

* * *

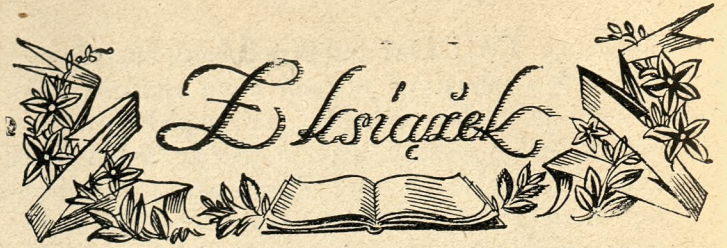
„Do czyszczenia uszu, zębów i paznogi“ — wydiera się jakaś kobiecina pod bramą ogrodu. „Cóżto za uniwersalne narzędzie? — może się prześłyszałam?“. Podchodzę bliżej — w fartuchu kupcowej widzę scyzoryki. Niewiasta, jak wiadomo, zawsze chytra, wymyśliła sobie taki sposób reklamy. Niedarmo pisał Boy: „Mój dobry Boże, każdy robi, co może!“ — „30 groszy, do czyszczenia uszu, zębów i paznogi“ — dolatuje mnie jeszcze z oddali.

* * *

Czy zresztą po tego rodzaju obrazki trzeba chodzić aż za „Żelazną Bramę“? Zajdźmy do Warszawskiej Biblioteki Uniwersyteckiej. W sali I czytelnik stoi na tacy karafka i szklanka. Obok — miseczka emaljowana. A zastosowanie tej miseczki? bardzo proste, tylko „laik“ mógłby się nad tem zastanawiać: wylewa się do niej niedopitą wodę, poto, by następny „klient“ miał w czym opłókać szklankę, zanim napije się wody.

O higjeno stolicy!

Maga.



BIBLIOTECKA WILEŃSKA

Wydawnictwo Magistratu m. Wilna — 1929.

Nr. 1. Janina Rodkiewiczówna: „Cech introligatorski w Wilnie“. Zarys historyczny.

Nr. 2. Stanisław Pigoń: „Z dawnego Wilna“. Szkice obyczajowe i literackie.

Nr. 3. Marja Łowmiańska: „Wilno przed najazdem moskiewskim 1655 roku“.

Każdy, komu droga jest przeszłość Wilna, ze specjalnem wzruszeniem weźmie do ręki te szaro-niebieskie zeszyty, w których żyją ludzie dawni i dawne czasy. Wilno z połowy XVIII wieku, kiedy to okoliczni włościanie przywozili na targ bochenki chleba tak wielkie, że dwa najwyżej mieściły się na wozie jednokonnym, kiedy to śledzie kupowało się u „solenników“, drób u „kuretnic“, na rynku zasiadały „jajecznicze“, „syrnicze“, „krupnicze“, „kapustnicze“, „grochownicze“ i „olejnicze“, kiedy to raczono się w dniu targowe „kwaszeniną“, rybą warzoną i pierogami — cóż to za obraz egzotyczny, rwący się z więzów martwych cyfr i wykazów pod ołówek artysty, pod pióro gawędziarza!

A czyż nie zacieka nas dziś spis garderoby zamożnej mieszczańskiej? Sukienka, letnik, kabat, 2 półczamarki, 2 czamary, płaszcz, zarękawek aksamitny, czepek „staroświecki“ jedwabny i dwie czapki: jedna atlasowa, druga aksamitna z kuniemi wylogami. Dodajmy, że to były szaty wdowie, a zatem skromne. Bielizna lepiej się przedstawia. Zasobna w „chusty białe“ wdowa ma 10 koszul „lepszych“, 11 ręczników, 13 poszewek, 4 prześcieradła i 14 obrusów, z tych 2 holenderskie. Częste były widać przyjęcia u ciepłej wdówki wileńskiej!

Otwórzmy drugą książeczkę na rozdziale „Rola kobiet w cechu introligatorskim“. Cóż tam czytamy? Oto ustawa z 1655 r. opiewa, że „wdowie wszelakiej, któraby po zmarłym małżonku, a mistrzu i bracie cechu tego, pozostawszy, rzemiosło robić chciała, wedle przywileju cechowego, będzie wolno to odprawować“. Dobrze się zatem działo onym wdowom wileńskim na długo przed hasłami emancypacji.

W bliższy nam świat przenosi czytelnika Stanisław Pigoń w szkicach obyczajowych i literackich z pierwszej połowy w. XIX. Znajdujemy się wśród dobrych, starych znajomych: profesorów i studentów uniwersytetu wileńskiego, w zaczarowanym kole romantyzmu, spisków filareckich, westchnień miłosnych, sztambuchów i książek „występnych“ w mniemaniu Nowosilcowa i jego zauszników. Przemawiają do nas „żywe kamienie“: zimne mury uniwersyteckie, które tyle wchłonęły w siebie żaru serc, niegdyś płonących, dziś spopielałych w podziemiach wawelskich, na Rossie, pod darnią kresowych mogilek, w śnieżnych pustyniach Sybiru...

Przesuwają się przed naszymi oczyma momenty tego życia, kipiącego nadmiarem sił intelektualnych i uczuciowych; drobiazgi, osnute na przypadkowo nieraz spotkanych źródłach archiwalnych, ale zespolone „chęcią możliwie różnostronnego docierania do genjuszu miejsca i genjuszu czasu, mianowicie do tego genjuszu, który w dziejach poezji polskiej jest rodzicem romantycznej „szkoły litewskiej“.

„Drobiazgowość w rzeczach sądu wielkie imię ma: Miłość“ — powiedział Norwid. Niewątpliwie ta miłość do rodzinnego grodu była pobudką dla ojców miasta Wilna do podjęcia cennego wydawnictwa, które utrwali chlubnie imię wileńskiego magistratu w historii naszej kultury kresowej. S. P. O.

Z TEATRÓW

Teatr Narodowy: „Wyprawa kapitana Scotta do Bieguna Południowego” — trzy akty — Reinharda Goering’a. Przekład J. Wittlina. Reżyserja Radulskiego. Dekoracje W. Drabika.

Wiadomo, że znacznie łatwiej sparodjować czyn bohatera, niż go dokonać. Mieliśmy przykrą sposobność stwierdzić tę ogólnie znaną prawdę na przedstawieniu „Wyprawy kapitana Scotta” w Teatrze Narodowym.

Byliśmy jednocześnie świadkami i ofiarami fatalnego nieporozumienia autora z jego własnym dziełem. Przyszliśmy do niego, jak do źródła, po świeżość i zdrowie, po muskularność duchową, po tężyznę walki z żywiołem, a napojono nas ekliwą mieszaniną nienaturalnego patosu z surogatem tragicznej potęgi. Zamiast ludzi żywych, rasowych sportowców, bohaterów pionierów i odkrywców, zachowujących męstwo i pogodę ducha nawet w obliczu śmierci — pokazano nam męczenników rekord, pretensjonalnie deklamujących o swoich wysiłkach i cierpieniach.

Autor chciał być godnym ich rapsodem, a okazał się zawodowym pomniejszycielem olbrzymów. Uczynił wszystko, aby istotne ich i niezaprzeczalne bohaterstwo zożydzić, zredukować do ciasnego kręgu rywalizacji sportowej i niezdrowych ambicji nacjonalistycznych. Pruską łapę znać w tej ciężkiej robocie i niedźwiedziej przysłudze.

Artystyczne rozwiązanie problemu walki z fatalnością, jaka ściga Scotta, było czynem ponad siły autora. Czego dokonał Scheriff w „Kresie wędrówki”, tego nie mógł dokonać Goering. Wyszedł z martwego punktu i poprowadził akcję w pustkę i beznadziejność.

Sztuka zaczyna się katastrofą. W chwili, kiedy Scott z towarzyszami dociera do bieguna, ukazuje się im na tle oślepiającego słońca arktyczny sztucznie usypany kopczyk śniegu z powiewającą nad nim chorągwią. To Amundsen, groźny rywal Scotta dotarł do bieguna pierwszy i zatknął na nim sztandar norweski. I tu następuje fatalne załamanie się duchowe uczestników wyprawy Scotta. Fakt, że biegun południowy został odkryty, zdaje się dla nich nie mieć znaczenia. Ważnem i tragicznym jest to, że nie oni go odkryli. Odtąd nie można się ludzi: ci ludzie nieodwołalnie skazani są na zgubę. Małodusznością wobec rzekomej klęski przekreślają własne niewątpliwe bohaterstwo.

Wszystko, co się odtąd dzieje, jest tylko pogłębieniem stanu bezsilności i beznadziejności, w jaki autor pogrąża i swoich bohaterów i widzów. Przez dwa długie akty mamy wrażenie, że kazano nam czekać przy konających, którym nie pomóc, ani ulżyć nie możemy. Jest to jedna z najbardziej wyrafinowanych tortur moralnych, jakie spotkać można w dramacie nowoczesnym. Akt trzeci: triumfalne przybycie Amundsena do portu Tasmanji, ma być plasterkiem ideologicznym na rany, zadane w dwóch pierwszych aktach. Naprawdę niczego nie tłumaczy, wzmacnia tylko wrażenie niesmaku.

Niepodobna zrozumieć, co skłoniło dyrekcję Teatru Narodowego do wystawienia tej sztuki. Podobno ktoś ją zobaczył w Berlinie i wpadł w zachwyt. Nagwałt kazano ją Wittlinowi tłumaczyć i z tego pośpiechu wyrosły na gruncie arktycznym takie kwiatki stylowe: „To jest prawdziwy gentleman — ni mniej, ni więcej”. I tłumaczowi i wykonawcom należą się wyrazy współczucia za nałamywanie się do sztucznego patosu, który z prawdziwym artystyzmem nie ma nic wspólnego. S. P. O.

Teatr Mały: „Papa” — komedia w 3 aktach G. A. de Caillaveta i R. de Flers’a. Reżyserja Jerzego Leszczyńskiego. Dekoracje Stanisława Śliwińskiego.

Olbrzymia skala poziomu duchowego i towarzyskiego dzieli najnowszą paryską sztukę „Słaba pleć”, wystawioną w Polskim Teatrze, od „Papy” — komedji, świeżo wznowionej w Ma-

łym. To jakby świt i zmierzch nie tylko francuskiej komedji, ale i francuskiej obyczajowości.

„Papa” — to jeszcze salon; „Słaba pleć” — to już tylko dom schadzek. Tam się gra o uczucie, tutaj już tylko o zmysły i pieniądze. A przytem ten nieco sentymentalny, naiwny, trochę już myszką trącający „Papa” posiadał skarb, na którego brak chorują wszyscy bohaterowie i bohaterki „Słabej pleci”. Skarbem tym jest wdzięk.

W niestarzejącej się, pomimo lat, atmosferze tego wdzięku skapana jest sielanka przedwojenna: konflikt uczuciowy między ojcem, czarującym uwodzicielem, a synem, szlachetnym prostakiem. Osią konfliktu jest młodzianka Georginja, prowincjonalna poczwarka, w blaskach miłości rozwijająca się w motyla. Naturalnie musi być i stary proboszcz wiejski, którego słodycz i prosta mądrość życiowa, wyrosła w słońcu wiary, jak łoża w uprawianej przezeń winnicy, dopomaga ludziom świeckim do właściwego zrealizowania ich uczuć i zamiarów.

Ta niemal epizodyczna postać, dzięki mistrzowskiej grze Stanisławskiego, wysunęła się na stanowisko czołowe. Każdy gest, każde słowo, każdy uśmiech księdza Jocasie był chciwie wylawiany przez widownię. Scena z telefonem należy do tych minjaturowych arcydzieł sztuki aktorskiej, które zdolne są zaćmić t. zw. „wielkie role”. Stanisławski nie był osobą z komedji: był żywym plebanem. Leszczyński doskonale grał swego czarującego „papę”, ale pomimo wszystko — tylko grał... Romanówna lawirowała między typem nowoczesnej, a przedwojennej panny, niezawsze zdecydowana, której stronie dać pierwszeństwo. Świetny był Karbowski w epizodzie francuskiego ekonoma. Daczyński może za słabo zaakcentował moment szlachetnej rezygnacji u syna, który musi się okazać dojrzalszym od ojca, wiecznego młodzika, ustępując mu wspaniałomyślnie narzeczoną.

Sztuka, dziś już wywołująca homeryczny śmiech swemi rozkosznymi anachronizmami życiowymi, za lat piętnaście stanie się napewno stylowym antykiem. Tak szybko pędzimy naprzód. „Papa” zestarzeje się razem z telefonem, ale nie straci swego wdzięku. S. P. O.



Scena z komedji „Papa” w teatrze Małym. Jerzy Leszczyński i Anetta Rutkowska.

JAK SIĘ ROZWIJAJĄ

Stowarzyszenie „Rodzina Wojskowa” zastosowało się wyjątkowo dobrze do swej nazwy.

Nie mam zamiaru pisać mu panegiriku na tle stosunków „rodziny” między członkiniami. Naturalnie, że stosunki te są miłe, uprzejme, zapewne w wielu środowiskach serdeczne, ale nie o to mi chodzi. Gdy patrzyłam na zgromadzone w wielkiej, białej sali kasyna garnizonowego uczestniczki walnego zjazdu, nazwa „rodziny” uderzyła mnie wyjątkową swą trafnością ze względu na skalę wieku obradujących pań. Tu naprawdę jest, jak w rodzinie: matki i córki, córki młode i zupełnie najmłodsze, a tych młodych ogromna przewaga.

Szalenie miły objaw, dotychczas w naszych stowarzyszeniach kobiecych nieczęsto spotykany. Zwykle bowiem widzimy w nich właśnie tylko matki, dawne pracownice z przed ćwierć wieku, mądre, doświadczone i najpożyteczniejsze, ale jakże zmęczone tą orką bez wytchnienia i jak pewno, w gruncie rzeczy, nieraz zasmucone, że tak niewiele młodych wstępuje w ich ślady, że tak słabo interesują się prawami, przez starsze przygotowanymi, pracą przez nie zaczęta i prowadzoną. Biedne, „wielkie matki” bezdzietne!

Tu zupełnie inaczej: są wszystkie starsze, nie takim znów matuzalowym wiekiem, a w żadnym razie nie wyglądem, ale zasługą starsze przewodniczki, wszystkie, które zakładały „Rodzinę” i te, które dla wojska pracowały, gdy jeszcze „Rodziny Wojskowej” nie było.

Zgromadzone zarządy: naczelną i warszawską witają p. Prezydentową Mościcką i panią Marszałkową Piłsudską, za nimi sala, nabita po brzegi, aż szumi weselem młodości. Gibkie, świeże, wysportowane, ze śmiejącymi się twarzyczkami a skupieniem w oczach — takie młode, tężące dzielnością i zapałem panie „wojskowe”.

Odnaczają się one jeszcze jedną niezwykłą zaletą: są idealnie punktualne, nikt się nie spóźnia, wszystkie przybywają na oznaczoną godzinę. Obrady toczą się sprężysto, bez marudzenia i beż gadulstwa, zato mówczynie są doskonałe. Wstaje sobie zgrabnie z miejsca jakaś młoda pani z tego lub tamtego krańca Rzeczypospolitej i mówi ze swadą dobrego parlamentarzysty. Czasem wybucha gorętsza dyskusja, bo sprawy ważne, palące, niekiedy sporne; ale spokojny głos przewodniczącej zjazdu ujmuje rozpierzchnięte odezwy, dyskretnie, lecz silnie podkreśla pewne wytyczne linie przewodnie i znów skupia się wszystko w uwadze i powadze obrad.

Uderza przede wszystkim przygotowanie zjazdu, rzetelna zasługa sekretariatu naczelnego zarządu. Sprawozdanie z działalności stowarzyszenia za rok 1929/30 (duża, 60-cio stronicowa broszura) rozdane zostało wszystkim uczestniczkom. Obejmuje ono działalność dziewięciu wydziałów zarządu naczelnego, kół prowincjonalnych, klubu sportowego warszawskiego i prowincjonalnych oraz bilanse. Ale tekst sprawozdania błędnie przy swoich własnych tablicach. Pierwszy raz widzę podobne tablice statystyczne przy zwykłym, rocznym sprawozdaniu stowarzyszenia kobiecego: tabela organizacyjna sekcji w 62 kółach prowincjonalnych, naturalnie data założenia koła, rozwój liczebny, ilość, rodzaj i rozwój sekcji; tabela opieki nad dzieckiem w kółach: przedszkola, szkoły powszechne, świetlice, warunki lokalne, warunki opieki fachowej w tych instytucjach, stosunek do nich rodzin oficerów, podoficerów, oraz ludności cywilnej, wszystko wyliczone najdrobiazgowiej. Dalej tabela wydziału kultury i oświaty: biblioteki, czytelnie, kursy języków obcych, chóry i teatry amatorskie, wycieczki, organizowanie klubów; tablica wydziału kształcenia zawodowego: kursy fachowe, wytwórnie, organizacja zbytu. Każde koło uwzględnione we wszystkich rubrykach cyfrą lub umówionym znakiem. Jeszcze tablica klubów sportowych: rodzaje sportów, uprawianych w poszczególnych

klubach, korty, sale, boiska, strzelnice, sprzęt sportowy, znów wszystko pomnożone przez x miejscowości.

Cóż tam za talent statystyczny o benedyktyńskiej cierpliwości i precyzji jubilerskiej roboty siedzi w sekretarjacie naczelnego zarządu i zestawia to wszystko!

Cała sala pokrywa się falowaniem wielkich, białych arkuszy. W myśl regulaminu zjazdu, sprawozdanie jest przez zarząd głośno odczytywane, ale tak, jak w teatrach włoskich, melomani słuchają oper, czytając partytury, tak tu członkinie słuchają i czytają jednocześnie, śledząc statystykę tablic: pewno w tej chwili dopiero uplastycznia się im owoc dokonanej pracy.

Największą energję wkłada stowarzyszenie w zorganizowanie opieki nad dzieckiem, wyjazdów na letniska i uzdrowiska, a także opieki nad zdrowiem kobiet i pomocy lekarskiej dla rodzin wojskowych, nieobjętych ustawą; obok tego stoją prace wydziałów kultury, kształcenia zawodowego, organizuje się wydział przysposobienia wojskowego; dowiadujemy się też o pracy finansowej; tu, jak zawsze z pieniądze, blaski i cienie: trudności z darowiznami, których przyjąć nie można, gdyż obciążono je niedogodnymi warunkami, zato jeden dar przemysł: działka ziemi na wyspie Solta nad Adrjatykiem, ofiarowana przez Tow. Polsko-Jugosłowiańskie; na działce tej wspólnymi siłami „Rodziny Wojskowej” i Komitetu oficerskich domów wypoczynkowych zbudowany zostanie dom wypoczynkowy.

Ze sprawozdań kół widzimy, że liczba członkiń wzrosła w przeciągu roku prawie o 100 procent: z 4 tysięcy na 7600; wszystkie Koła podkreślają wybitny udział żon podoficerów w uczestnictwie i w zarządach. Mój Boże, jak niedawno była ta jeszcze sprawa sporna, a dziś załatwiona już z całym rozmachem młodości i prawdziwie racjonalnej demokracji! A jak te panie podoficerowe dobrze mówią, satysfakcja posłuchać, jakie są inteligentne i kulturalne.

Ogromny dział obrad sprawozdawczych skończony. Absolutorium dla Zarządu, podziękowania i oto już unoszą się chmurki „wonnego dymku” papierosów, gwar rozmów, śmiechu i pożegnań: do popołudnia, ba! pracowitego: komisje.

Drugi dzień zjazdu, gwóźdź obrad: referaty i rezolucje. Z całym uznaniem podkreślić należy apolityczną linię stowarzyszenia, które wytknęło sobie jasny cel: łączność wszystkich członkiń i licznych instytucji w pracy i poczynaniach społecznych, dla dobra zrzeszenia, pomyślności ogólnej i godności imienia polskiego wobec Europy. Stwierdzić należy przytem wybitną jednogłębność opinii kół z opinią zarządu naczelnego we wszystkich sprawach, np. w ustosunkowaniu się do Rady Narodowej Polek, w opinii o artykułach 141—142 Kodeksu Karnego i innych.

Nasuwa się tu tylko jedna uwaga: niektóre panie z prostotą szczerzej skromności stwierdzają, że na prowincji, zdala od stolicy, od naczelnego Zarządu, trudno im zorjentować się w różnych sprawach ruchu kobiecego, w konstrukcji, pracach i celach wielkich międzynarodowych organizacji kobiecych i t. p. Szanowne, przemile panie, dzielne pracownice, czytajcie uważnie pisma kobiece! Darujcie ten apel pro domo nostra, ale tyle wysiłku wkładamy, aby właśnie dobrze was poinformować, zamieścić każdą ważną wiadomość, niczego nie pominąć. Czytajcie tylko, a wszystkie arkana „Rady Kobiet”, „Związku Praw Wyborczych i Pracy Obywatelskiej” i innych podobnych zrozumiecie doskonale. Trudno, aby Zarząd rozsyłał informacje o stowarzyszeniach w kraju i zagranicą — to rola prasy kobiecej, niechżeż prasa ta będzie dokładnie znana.

Jedna z najważniejszych uchwał dotyczy szeroko dyskutowanej obecnie w prasie kobiecej sprawy artykułów 141 i 142 Kodeksu Karnego. Zjazd przyjmując uchwałę wyrażającą życzenie zniesienia tych paragrafów, wypowiada się jednak gorąco za rozszerzeniem i wzmoczeniem działalności opieki nad dzieckiem, ustaw i instytucji, które umożliwiłyby każdej kobiecie macierzyństwo i racjonalne wychowanie potomstwa.

Pracowite były dwa dni, ale rzetelne i wesołe. N. J.

Kobieta w świecie i w domu

ZJAZD RODZINY WOJSKOWEJ

W tygodniu ubiegłym odbył się w sali Kasyna Garnizonego doroczny walny zjazd delegatek Rodziny Wojskowej. Na otwarcie przybyły: Pani Prezydentowa Mościcka i Pani Marszałkowa Piłsudska.

Zjazd otworzyła przewodnicząca zarządu, p. Fabrycowa, na przewodniczącą obrad powołano p. Berbecką; po przemówieniach powitalnych delegatów różnych instytucji, wysłano depesze do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Marszałka Piłsudskiego, poczem pierwszy dzień obrad zajęło sprawozdanie z działalności ubiegłego roku, dyskusje i prace w komisjach.

W drugim dniu wygłoszono referaty w sprawie udziału w Radzie Narodowej Polek (p. Kollataj-Srzednicka), artykułów kodeksu o karalności przerywania ciąży (p. Czesława Wolińska), oraz powszechnego kodeksu honorowego (dr. Świtalska-Fularska). Zjazd zakończyły wybory uzupełniające do zarządu naczelnego; wybrano panie: Jadwigę Beckową, Janinę Jacynikową, Halinę Młodzianowską i Helenę Soldenhof; na zastępczynię: Milly Burhardtową, Marję Frankowską, Janinę Kilińską, Janinę Mareschową, Marję Przyjałkowską i Annę Wróblewską.

JUBILATKI

Dwa obchody uczczenia długoletniej pracy społecznej i kulturalnej kobiet. W siedzibie Klubu Artystycznego zebrali się przedstawiciele teatru, literatury, organizacji społecznych i liczni zaproszeni na uroczystość 70-lecia urodzin znanej i zasłużonej działaczki, p. Lucyny Kotarbinskiej, organizatorki i nieustraszonej członkini „Dźwigni”, Macierzy Szkolnej, Białego Krzyża, wdowy po wielkim artyście sceny polskiej, kobiety, która obok wyteżone akcji społecznej, prowadziła przez długie lata dom, będący ogniskiem artystycznym i kulturalnym i, jak to trafnie podniósł jeden z mówców, „domem rodzicielskim” dla młodych autorów i artystów.

Gorące uznanie i najszczerza sympatja przebiegały z przemówień licznych delegatek i delegatów, jak: Narodowego Koła Kobiet Polskich, Koła Polek, „Dźwigni”, Zw. Artyst. Dramatycznych, Zw. Artystów-Emerytów, Zrzeszenia Beletystów, Zw. Artyst. Scen Polskich, Fundacji Instytutu Radowego, oraz depesz i listów organizacji i osób prywatnych.

Głębokie wrażenie wywarła też odpowiedź jubilatki, która zaznaczyła, że dzień dzisiejszy uznaje za podstawę do dalszej pracy, bo cóż tam lata 70-tka! „Ona sobie, a ja sobie”. A gdy obok społecznie przemówiła żona, wspominając gorącą, długoletnią miłość i zespolenie duchowe i ślubując do końca dni wierność pamięci i nazwisku wielkiego małżonka, zebrani powstał spontanicznie dla uczczenia pamięci Józefa Kotarbińskiego i oddania hołdu temu związkowi i wiernemu, poza śmierć uczuciu.

Drugim obchodem było 25-lecie Kursów Dramatycznych H. Hryniewieckiej, dobrze znanych i zasłużonych w stolicy. W czasach najtrudniejszych, niewoli a potem okupacji niemieckiej, jubilatka prowadziła pracę kultury polskiego żywego słowa w poezji i literaturze dramatycznej.

Kulminacyjnym punktem obchodu był popis uczennic Kursów w Teatrze Letnim. Program doskonałego zespołu wypełniły dwie sztuki Fredry i deklamacje. Oba Kursy mają

b. dobry i pedagogicznie świetnie wyszkolony materiał, z którego wybijają się poszczególni przedstawiciele o niepowszednich zdolnościach artystycznych, którzy napewno zabłysną talentem na naszych scenach.

Liczne przemówienia przedstawicieli zrzeszeń artystycznych, owacje dla jubilatki na scenie, zarzuconej kwiatami, i przemiły wieczór w Polskim Klubie Artystycznym zakończyły obchód.

KOLONJE DLA MAŁYCH GAZECIARZY

Tow. Przyjaciół Dzieci Ulicy stara się o zorganizowanie kolonji letniej dla małych sprzedawców gazet. Zarząd uzyskał od władz wojskowych ładny teren pod Łomżą. Istnieje projekt wysłania trzykrotnych partyj, każda po 50 chłopców, na miesiąc. Towarzystwo zwraca się do wszystkich z gorącą prośbą o poparcie tej akcji, zapewniającej dzieciom, pracującym nieraz nad siły i wśród fatalnych warunków zdrowotnych, trochę słońca i powietrza. Ofiary składać można do P. K. O. konto Nr. 21.521.

RAID LOTNICZKI NA JAZONIE

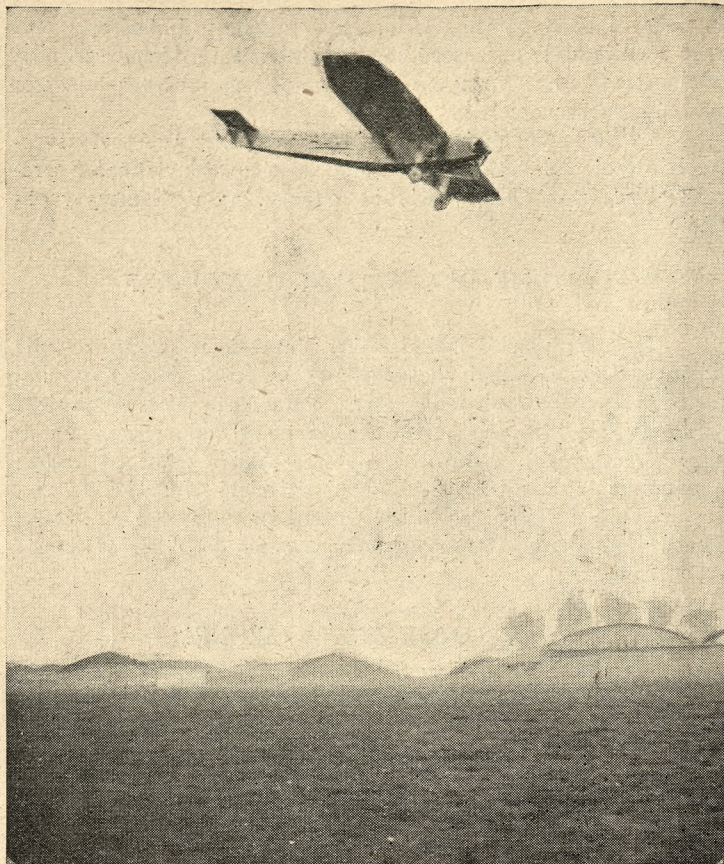
W ostatnich czasach wydarzyły się znów dwa rekordowe wyczyny kobiet-lotniczek (obie angielskie). Lena Bernstein pobila rekord Lindberga w zakresie długości lotu bez lądowania. Nie był to, co prawda, przelot transatlantycki, Miss Bernstein krążyła tylko nad lotniskiem Le Bourget, niemniej, jako wyczyn sportowy, zwłaszcza kobiecy, posiada ważne znaczenie.

O wiele więcej emocjonujący był raid Miss Amy Johnson z Anglii do Australji. Miss Johnson, mająca obecnie 22 lata, jest lotniczką dopiero od półtora roku. Po skończeniu uniwersytetu zapisała się do szkoły lotniczej, studiując przy tem mechanikę, tak, aby mogła być jednocześnie pilotką i mechanikiem swego samolotu. Otrzymała też, jako pierwsza kobieta w Anglii dyplom inżyniera-lotnika, wydany przez ministerjum lotnictwa.

Dnia 5 maja wystartowała Miss Johnson z londyńskiego lotniska Croydon do Australji, sama, na małej awjonetce „Jazon”



Miss Amy Johnson.



Samolot p. Bernstein nad lotniskiem Le Bourget.

Zamiarem jej było pobić rekord sławnego lotnika australijskiego Hinklera, który przebył tę drogę w 17 dni. Na pierwszym etapie Croydon — Kalkutta zyskała młoda lotniczka nad Hinklerem dwa dni, następnie jednak nad pasmem gór birmańskich spotkała ją mgła, która opóźniła lot blisko o dobę, za Bangkokiem zaś dostała się w obręb monsumu, który towarzyszył jej tylko 250 mil, wzdłuż całego wybrzeża półwyspu Malajskiego. W czasie przelotu trzeba było jeszcze zmieniać śmigło, kilkakrotnie nie mogła Miss Johnson zrobić dostatecznego zapasu benzyny, co zmusiło ją do nadprogramowego lądowania w niesłychanie trudnych warunkach; wszystkie te przeszkody sprawiły, że dzielna pilotka nie mogła pobić rekordu Hinklera w czasie.

Ostatni etap lotu, 800 kilometrów nad archipelagiem Malajskim, odbyła Miss Johnson rekordowo, dosięgając 18 dnia podróży portu Darwina w północnej Australji, gdzie na spotkanie jej wystartowała eskadra samolotów i wyszły tłumy publiczności. Od króla angielskiego, ministra lotnictwa, ministra Miss Bondfield, Aeroklubów całej Anglii, klubów sportowych i mnóstwa osób prywatnych nadesłano setki depesz gratulacyjnych.

Pomimo niezwykcieńczenia rekordu Hinklera, niemożna nie stwierdzić, jak śmiałego czynu dokonała Miss Johnson. Po niecałych dwu latach nauki lotnictwa, młoda pilotka, bez żadnej pomocy, bez mechanika, przebywająca 17 tysięcy kilometrów, wśród burz i mgieł, nad pasmami nieznanymi gór, morzami i pustyniami, przelatująca połowę kuli ziemskiej, to fakt nietylko niezwykle, ale świadczący o zupełnie równych możliwościach kobiet w zakresie dalekich i trudnych raidów. To też „urocza Miss Johnson” stała się odrazu benjaminkiem angielskiego lotnictwa.

W ALGERJI BĘDĄ ADWOKATKI.

Z racji stulecia panowania francuskiego w Algerji, odniosły kobiety francuskie nowe zwycięstwo. Podczas odbywającego się w Algerze kongresu prawników weszła na porządek dzienny

sprawa dopuszczenia kobiet do adwokatury, w Algerji bowiem kobiety nie mogą stawać w sądach, pomimo, że we Francji mają już od dość dawna to prawo. Obrady kongresu były gorące; jeden z uczestników oświadczył, że, ostatecznie, możnaby dać kobietom prawo bronięcia małoletnich; na to odpowiedziała senjorka adwokatów francuskich, p. Marja Vérone, że taka adwokatką mogłaby być jadać raz na... trzy miesiące, gdyż nawet w Paryżu sprawy małoletnich trafiają się raz na tydzień. Wtedy wysunięto argument, że Arabowie uznają dopuszczenie kobiet do adwokatury, jako skandal.

— To niech sobie Arabowie oddają swe sprawy mężczyznom, nie wiele nas to obchodzi — odparła p. Vérone — przekonują się prędko, jak bronić umieją kobiety.

Ostatecznie kongres uchwalił wniosek: „aby kobiety nie były wyłączone z kadr obrońców sądowych”.

PO DRODZE TRADYCYJ RODZINNYCH.

P. Ewa Estreicherówna, córka Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Estreichera, uzyskała w tych dniach doktorat prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, za pracę z zakresu statystyki, zatytułowaną: Statystyka płac robotników rolnych. P. Estreicherówna zajmuje odpowiedzialne stanowisko referendarza w Głównym Urzędzie Statystycznym. Nowa doktorka jest zapaloną sportsmenką, uprawiającą pływanie i lekką atletykę, miała liczne rekordy w skoku pływackim w A. Z. S.



P. Ewa Estreicherówna.

DROBNE OGŁOSZENIA

Absolwentka wydziału fizyko-matematycznego Uniwersytetu Warszawskiego wyjedzie na kondycję — przygotowuje i poprawia stopnie w zakresie 8-miu klas. Wymagania skromne. Warszawa — Wspólna 10 — Dom Akademicki. Irena Kowalska.

Krawcowa bardzo zdolna wyjedzie na lato do majątku. Referencje dobre. Adres: Włochy, ul. Wyspiańskiego 26, Marja Ducińska.

ZWYCZAJE TOWARZYSKIE I DOBRY TON

III. ZACHOWANIE SIĘ PRZY STOLE.

Są pewne zwyczaje przy stole, które młodzi ludzie, należący do dobrego towarzystwa, znają i wyuczują dzięki dobremu wychowaniu, ale może nie zaszkodzi je przypomnieć.

Mięso kraje się, trzymając widelec w lewej, a nóż w prawej ręce, kolejno na kawałki, jakie się ma spożywać, zamiast krajać cały plaster od razu na drobne cząstki, przed rozpoczęciem jedzenia. W ten sam sposób spożywa się owoce, ale nie jarzyny. Do jedzenia słodkiej potrawy (niesłusznie u nas zwanej „leguminą“, gdyż ta nazwa pochodzi od francuskiej i włoskiej „legume“, co znaczy — „jarzyna“) używa się widelca, często nawet do bitej śmietanki, pomimo, że to się wydaje nieco dziwnym.

Nie kraje się swego kawałka chleba czy bułki, lecz dzieli się go lub łamie; należy unikać żądania nowego kawałka, chyba, że się jest częstym gościem w domu. Bismark mawiał o francuzach: „Francuz — to taki pan udekorowany, nie znający geografji i żądający chleba powtórnie“.

Do jedzenia siekanego mięsa i ryby nie używa się nigdy noża.

Niczego nie należy dotykać palcami, za wyjątkiem chleba i niektórych owoców. Jednak, ponieważ używanie szczyptec zostało uznane za niewygodne, szparagi można brać palcami.

To, co się wzięło na talerz, winno być spożyte, unikając jednak opróżniania talerza „do czysta“; zwłaszcza nie należy wycierać sosu chlebem, co często robią francuzi.

Na początku XIX wieku i później jeszcze, brano w palce udko kurczęcia, albo kotlet, owinięty we fryzowany papier, czy nawet bez papierka. W tej epoce pan domu sam krajał przy stole sztukę mięsa, lub pieczeń i podawał plaster na talerzu swemu sąsiadowi z lewej i z prawej strony; dalszym biesiadnikom posyłał je przez służącego. Dzisiaj podaje się półmisek z pokrajaną uprzednio pieczęcią w ten sposób, aby cała sztuka pieczystego, czy drobiu, zachowała swój kształt pierwotny. Często nawet pozostawia się ptakowi jego upierzenie i wraz z niem podaje, co służy równocześnie za ozdobę stołu.

Zwyczaj pokazywania półmiska gościom, przed jego podaniem do stołu, zachował się jedynie w jadłodajniach i w hotelach. Jest to pewnego rodzaju dyskretny nadzór, na wypadek, gdyby kto z gości podejrzywał sumienność właściciela zakładu. Nie można być do tego stopnia niegrzecznym dla pani domu, by kto z gości ośmielił się wątpić o jakości i doborze potraw, przy jej stole podawanych.

Półmiski podaje się najpierw paniom, rozpoczynając od siedzącej na naczelnym miejscu, a kończąc na pani domu. Następnie mężczyznom w takim samym porządku (panu domu na ostatku). Jednakże tegoż zwyczaj dozwala na podawanie półmisek zaproszonym gościom, poczynając od osobistości najbardziej czołowych, następnie już bez zwracania uwagi na płeć i na znaczenie biesiadników. Dobry to sposób dla przyspieszenia obsługi i nieprzedłużania zbytnio obiadu

Mary.

DYSKUSJA Z KONIECZNOŚCI

Winien tu jestem p. Kazimierzowi Brzezińskiemu, dyrektorowi samorządowej szkoły ogrodniczej we Lwowie, odpowiedź na jego artykuł, umieszczony w zeszycie 7-ym miesięcznika „Ogrodnictwo“ (z lipca 1929), redagowanego przez jego rodzzonego brata, p. Józefa Brzezińskiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

A winien jestem tę odpowiedź nie ze względu na pierwszego z wymienionych, jako autora owego niesłychanego artykułu, lub na drugiego, jako odpowiedzialnego za artykuły, umieszczane w „Ogrodnictwie“ — ale ze względu na tych, co, z konieczności fachowej „Ogrodnictwo“ czytując, przez artykuł p. K. Brzezińskiego, ponieśli wielką szkodę nie tylko w pojęciach o pieczarkarstwie, ale w nauce wogóle.

Odpowiedź podaję w „Bluszczu“ z tej racji, iż dyskusję wywołał drukowany w swoim czasie w tem piśmie artykuł mój o pieczarkach, który zdołał natchnąć fachowca-ogrodnika polskiego do wygłoszenia swoich zapatrywań na tę sprawę w sposób następujący:

„O PEWNEJ RADZIE!“.

„W znanem, poczytnem piśmie kobiecym „Bluszcz“ (w nr. 18 z dnia 4 maja 1929 roku) wyczytałem artykuł pod tytułem „Co radzić“. Autorem wyżej wymienionego artykułu jest znany propagator zbierania grzybów i uprawy pieczarek, pan Feliks Teodorowicz. Nie zajmowałbym się najzupełniej tym artykułem, gdybym tam był znalazł opis poprostu uprawy pieczarek. Opis mógłby być więcej lub mniej wyczerpujący, ale rzecz sama byłaby wówczas najzupełniej na miejscu. Tymczasem artykuł był właściwie ściśle propagandowy pod hasłem: Hoduj wszędzie pieczarki, albowiem jest to najpewniejsza droga do podniesienia dobrobytu nie tylko samych producentów, ale wogóle stanowi o zubożeniu ludności danego kraju. — Jakkolwiek zaś jest rzeczą znaną, że propagandyści wszelkiego rodzaju, jako naród wielce zapalny, swobody pisania często nadużywali zwyczaj, to przecież owe rady, jakie znaleźliśmy w cytowanym numerze „Bluszczu“, przedstawiają się jednak jako coś tak niezwykłego, iż wzięła nas pokusa przedstawienia ich czytelnikom „Ogrodnictwa“. Niechże dowiedzą się i fachowcy, jak ogrodnictwo w piśmie, dla szerokiej publiki przeznaczonych, uprawiane bywa.

Chcieliśmy w tym celu „radę“ poprostu streścić, by móc do niej dodać parę uwag własnych. To jednak okazało się — a Czytelnik zrozumie łatwo, dlaczego — absolutnie niemożliwym. Niepodobna bez obrazy całokształtu przewodnich myśli autora rady usunąć z niej ani jednego zdania. Tylko bowiem zestawione wszystkie, jak są, tłumaczą te myśli jedna drugą dostatecznie, i stwarzają tę oryginalną całość, jaka nas przy przeglądaniu owego numeru „Bluszczu“ uderzyła. Obawialiśmy się przeto, że przedstawione fachowcom streszczenie mogłoby nie znaleźć u nich poprostu miary, iż to jest naprawdę streszczenie rzeczy, w rozpowszechnionem piśmie polskiem drukowanej — a nie złośliwa jakaś tylko karykatura.

Pozwalamy więc sobie zacytować rzecz w całości. Oto ona:

(Następuje dosłowny przedruk mojego artykułu p. t. „Co radzić“, drukowanego w nr. 18 „Bluszczu“ z dnia 4 maja 1929 r.).

Wreszcie — komentarz autora w następującem, dosłownem brzmieniu:

„Sądzimy, że zacytowane powyżej „Co radzić“ mówi tak wspaniale samo za siebie, iż szerokie komentarze byłyby zbędne. Czytelnik „Ogrodnictwa“ jest niewątpliwie zdumiony,

ale i zachmycony radami, wedle których nadobne czytelniczki „Bluszczu” miałyby, w zgodzie — zdaniem autora „Co radzić” — z przepisami higieny i najzwyczajniejszego, nie już komfortu, ale prymitywnego porządku mieszkaniowego — zaprowadzać u siebie „champignons lits”.

Że paryżanki, w znaczeniu przenośnem, sypiają na pieczarkach, o tem wiadomo wszystkim. Odnosiło się to jednak do faktu, że część podziemi pod Paryżem, jakie powstały przez wydobywanie wapienia paryskiego, jako materiału budowlanego, zużytkowana jest przez specjalistów pod uprawę pieczarek. To jednak, że paryżanka sypia obecnie na rozkładającym się pod jej łóżkiem końskim gnoju — jest stanowczo nowością. Skoro jednak autor „Co radzić” tak twierdzi?...

A że kultura idzie do nas z Zachodu, więc niema rady. Szkoda tylko, że autor nie podaje jednocześnie wskazań prawnych, jak się bronić przeciwko nieuznającemu najnowszych prądów paryskich, a o kamienicę dbałem, właścicielowi domu, który, jak to autorowi „Co radzić” doskonale wiadomo, może za tak oryginalny sposób użytkowania lokalu, usunąć z niego lokatora, to nawet mimo ustawy o ochronie lokatorów. Bo jednaś te łazienki, rozkładające się nawozu z „rozpylaniem na ten nawóz wody z saletą”, to chyba, inne względy pomijając, nie zupełnie się zgadza z dębami posadzkami, jakich w miastach lokator zwykłe wymaga. A sędziowie bywają jednak — równomierni.

Niewiele też zapewne wykwintnych czytelniczek „Bluszczu” z tak pięknej rady skorzysta. Zastanawiając się jednak nad nią, przychodzimy do przekonania, że autor „Co radzić”, choć o tem może nie myślał, rozstrzygnął jednak niesłychanie dla wszystkich krajów ważną sprawę bezrobotnych, i to nawet bez drażliwego, jak wiadomo, zawsze, zmuszania tych bezrobotnych do jakiegokolwiek roboty. Wystarczy bowiem, by tylko — racjonalnie spali! Dość więc dostarczyć każdemu z tych biedaków, których utrzymywanie tak ciężko państwu przychodzi — po furze lub dwie końskiego nawozu, a niech już sobie na nim ciepłem własnego ciała owych 10 zł. na dobę wygrzewają sam!.

Mielibyśmy prawo tę myśl uważać jako dopełnienie własne, a niezmiernej przecież wagi. Nie chcąc jednak wdziierać się w atrybucję autora „Co radzić”, rezygnujemy z tego, a natomiast wyrażamy nadzieję, iż dalszemi tego rodzaju „radami” podniesie on kraj ekonomicznie i szerokie masy do najwyższego doprowadzi dobrobytu. Tego też jemu i „Bluszczowi” życzymy!

Kazimierz Brzeziński.

Po ukazaniu się zeszytu 7/1929 „Ogrodnictwa” z powyższym artykułem, zanim z treścią jego mogłem się zapoznać, uprzedzono mnie już na tut. Uniwersytecie uwagą: „Boże! do jakiej to potworności może dojść złośliwość ludzka!”. I artykuł p. Brzezińskiego mi streszczono.

Zapraǳiałem go mieć. Ale, żałując na to pieniędzy, a znając ludzką duszę... wysłałem do redakcji „Ogrodnictwa” kartę pocztową z prośbą „o łaskawe przesłanie mi owego numeru, w którym, jak słyszałem, ma być bardzo pochlebny artykuł o mojej działalności pieczarkarskiej”. Rachuby mnie nie zawiodły: trzeciego dnia inkryminowany zeszut „Ogrodnictwa” miałem już w rękach, przesłany mi przez redakcję gratis i franko...

A teraz godnie, spokojnie, z uwagą przejdźmy cały artykuł pana Brzezińskiego.

Przedewszystkiem zironizowane przezeń hasło: „Hoduj wszędzie pieczarki, albowiem jest to nie tylko najpewniejsza droga do podniesienia dobrobytu samych producentów, ale wogóle stanowi o z bogaceniu ludności danego kraju”, — hasło to powtarzam tu ponownie i wykrzykiwałbym je wciąż dalej całą mocą

miłości dla kraju rodzinnego, gdybym wiedział, że wolaniem mojem otworzę przecież oczy tym, co sprawę masowej hodowli pieczarek w Polsce, czyli sprawę technicznej możliwości przerobienia przeszło 50 miliardów kilogramów nawozu końskiego, jaki mamy do dyspozycji w jednym roku, na pieczarki, tak w całym cywilizowanym świecie skwapliwie poszukiwane, ująć winni byli już dawno w ręce i zbytem tego lukratywnego artykułu rozumnie pokierować. Czy zaś możliwość przerobienia w ten sposób 50 miliardów kg. nawozu rocznie na półczwarta przeszło miljarda kg. pieczarek, co licząc po cenie tylko 5 zł. za kg. = ok. 19 miliardów złotych, nie może i nie powinna „stanowić o z bogaceniu ludności kraju”, to już zostawiam ocenie p. Brzezińskiego i tych przedewszystkiem, co, jak on, miast z racji powołania swego i stanowiska propagandę tej produkcji jak najgoręcej szerzyć, paraliżują jeno akcję złośliwemi i nierzeczowemi wystąpieniami.

Drukując swój artykuł w „Ogrodnictwie”, miał a priori na celu p. Brzeziński „przedstawienie jego czytelnikom, jak ogrodnictwo w pismach, dla szerokiej publiki przeznaczonych, uprawiane bywa”.

Biedny „Bluszcz”! dostało się i jemu, mimo tylu i tak troskliwie opracowywanych w nim porad ogrodniczych! — Ale uspokójmy się! Bo oto ja mam tu na celu wykazać, jak, nie tylko już tak doniosła gałąź ogrodnictwa, jaką jest pieczarkarstwo, ale i nauka biologii roślin, przez fachowych, a odpowiedzialnych z racji zajmowanych stanowisk, ogrodników, w pismach o takiej marce, jak „Ogrodnictwo”, traktowane bywają!

Pan K. Brzeziński, po dłuższym wywodzie o porządkach mieszkaniowych, higienie i t. p., stwierdza stanowczo, że genialne w pomysł francuskie „champignon-lit” jest jedynie wytworem mej entuzjastycznej fantazji, że w rzeczywistości nie istnieje.

Ale pocóż czas i miejsce tracić na próżną dyskusję! Oto: racz Pan, Panie Brzeziński, wyjechać do Wejherowa na Pomorzu, a zobaczy tam Pan na żywe oczy najoryginalniejsze owo „champignon-lit” w domu pani Drzewieckiej, małżonki sekretarza Ligi Morskiej i Rzecznej, która to dzielna pani, zapragnawszy pójść śladem przedsiębiorczych francuzek, łóżko takie pieczarkowe przed niedawnym czasem sprowadziła i ma je u siebie.

No, z jednym „argumentem” spokoj! — Ale — idźmy dalej! (d. c. n.) Prof. Feliks Teodorowicz.

Już się ukazał zeszyt

p. t.

„HAFT TOLEDO”

nauka wykonania i wzory.

**Cena 1 zł. 50 gr.
Z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.**

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz” Warszawa, Plac Zamkowy 9, Konto P.K.O. 13.555

MORWA BIAŁA

(dokończenie)

W szkółce najlepiej sadzić drzewka co 60 cm. w kwadrat, lub też rzędami, odległymi od siebie o 70 cm. (w rzędach co 40 cm.); oczywiście, wymiary te stosujemy tylko do drzewek piennych, które w szkółce zostaną 4 — 5 lat.

Dla sadzonek na żywopłot dostateczną odległością będzie 25 cm. w kwadrat, gdyż pozostaną one w szkółce tylko jeden rok. Sadząc, należy starannie segregować siewki podług ich wzrostu i wielkości liści. Ułatwią nam to znaki, porobione jesienią.

Przy przesadzaniu należy zachować te same ostrożności, co przy innych roślinach, a więc nie obrywać i nie kaleczyć korzonków, nie pozwolić im obsychać, odrzucać wszelkie egzemplarze nadgniłe, oraz skrócić korzonki o jedną czwartą ich długości. Wszelkie cięcia należy wykonywać ostrym nożem. W szkółce musimy pielęgnować roślinki tak samo, jak i w rozsadniaku: baczyć, aby ziemia nie wysychała, walczyć z chwastami i t. p. Oprócz tego, zaraz w pierwszym roku, przystępujemy do cięcia, które pozwoli wytworzyć drzewka żadanego kształtu.

W tydzień po przesadzeniu przycinamy wszystkie roślinki na wysokości 3-go oczka nad ziemią. Czynność ta ma na celu wzmożenie systemu korzeniowego. W czerwcu z wypuszczonych pędów wybieramy najsilniejszy, który ma stanowić przyszły pień, a resztę wycinamy.

Jesienią przekopujemy raz jeszcze ziemię między rzędami, posypaniem nawozem. Na tem ograniczają się wszystkie starania w pierwszym roku prowadzenia szkółki, a drugim — życia drzewek.

Uszlachetnienie drzewek powinno być wykonane w drugim roku pobytu w szkółce. Najlepsze rezultaty wydaje okulizowanie w śpiące oczko. Samo szczepienie odbywa się zupełnie tak, jak szczepienie róż, lub drzewek owocowych. Otrzymany po szczepieniu pęd prowadzimy dalej tak samo, jak pęd zwykłej, nieszczepionej roślinki — ma on stać się podstawą pnia.

Drzewka, niepotrzebujące szczepienia, skracamy mniej więcej o $\frac{1}{4}$ ich wysokości, t. j. silniejsze mniej, słabsze więcej. Skracamy zapomocą ostrego noża, cięciem poprzecznym, na kilka oczek powyżej silnego oczka, z którego można wyprowadzić *przewodnik*. W ciągu lata wybują pędy boczne: najsilniejszy przywiązujemy pionowo; będzie on w przyszłości stanowił przedłużenie pnia; boczne pędy należy osłabiać przez systematyczne obcinanie im czubów. Pędów tych odrazu wycinać nie można, gdyż wpływają one w znacznej mierze na grubienie pnia.

W następnym roku, czyli w czwartym od wysiewu, można otrzymać już drzewko wysokie na 1,50 do 2,00 mtr. Rok ten poświęcamy pogrubianiu pnia. W tym celu postępujemy zupełnie tak, jak w roku poprzednim. Zeszłoroczną wierzchołkową gałązkę przycinamy i pozwalamy z niej wyrosnąć jednemu pędowi z przeciwległej strony. W tym roku obcinamy boczne pędy, gdyż dłuższe pozostawienie ich, wpłynęłoby wprawdzie dodatnio na grubość pnia, lecz musiałoby potworzyć zbyt duże blizny.

W czwartym roku formujemy koronę, t. zn. przycinamy przewodnik na takiej wysokości, na jakiej

chcemy mieć rozgałęzienie. Najwygodniejszym dla zbioru będzie pień wysoki na 1 mtr., do 1,20 mtr. Tam jednak, gdzie morwy mają być użyte na aleje, trzeba dawać korony na wysokości 2,00 — 2,50 mtr., choć do obrywania liści jest to niewygodne.

Z pędów zeszłorocznych obcinamy wszystkie, za wyjątkiem trzech największych, które mają tworzyć trzy zasadnicze korony: muszą one rosnąć w kierunkach przeciwnych. Pojawiające się nowe pędy będziemy przycinać, trzem zaś zasadniczym pozwolimy aż do przyszłej wiosny rosnąć swobodnie.

Tak sformowane drzewka możemy z nastaniem wiosny wysadzić na miejsca stałe. Doły pod nie należy pokopać już jesienią, aby się odleżały; tam, gdzie grunt gorszy, dobrze jest sypać, bodaj na same korzenie, możliwie dobrą ziemię, wybraną zaś z dołków, odrzucać. Sadząc, trzymać się tych samych prawideł, co przy sadzeniu drzewek owocowych, zachowując odległość 8 — 10 metr.

Drzewko morwowe w szóstym roku życia posiada tylko trzy zasadnicze gałęzie. Celem naszych zabiegów będzie wytworzenie rozłożystej korony; dokonujemy tego zapomocą metodycznego cięcia. Sadząc drzewko, skracamy te trzy gałązki do 30 cm. W ciągu lata ukaże się na nich dużo pędów; wybieramy po 2, a resztę skracamy, prócz tego wycinamy zupełnie wszystkie pędy, wyrastające na pniu.

W marcu następnego roku wycinamy wszystkie pędy, przycinane w roku zeszłym, a 6 wybranych gałązek skracamy znów do 30 cm. i pielęgnujemy po 2 pędy z każdego, czyli, że w siódmym roku życia drzewek korona powinna mieć po 12 gałązek. W ósmym roku życia drzewek postępujemy tak samo i otrzymujemy koronę o 24 gałązkach; na tem kończy się pielęgnowanie korony. W następnych latach cięcie ograniczamy do wycinania wszystkich pędów, wyrastających na dawnych cięciach zasadniczych gałązek, z wyjątkiem górnych pędów, które mogą służyć na pokarm już hodowanych gąsienic.

Do tak sformowanej korony słońce i powietrze ma dostęp ze wszystkich stron.

W dziewiątym roku życia drzewek, czyli, gdy już posiadają zasadnicze 24 gałązki, możemy przystąpić po raz pierwszy do obrywania liści. W tym pierwszym roku użytkowania drzewa należy czynić to ostrożnie, zostawiając mu połowę liści, w następnych możemy ich zrywać nawet $\frac{3}{4}$.

Ilość liści, które drzewa dać mogą, jest bardzo względna, zależna nie tylko od wieku drzewa, ale przede wszystkim od jakości gleby, na której morwa rośnie, oraz od stopnia kultury, w jakiej się drzewo znajduje.

Krzewy morwowe rozwijają się na wiosnę wcześniej i skutkiem tego, dla hodowli, wskazane jest posiadanie pewnej ich ilości, gdyż można wcześniej hodowlę rozpocząć.

Chcąc otrzymać prawidłowy krzew, należy dwuletnią sadzonkę ściąć tuż przy ziemi — wypuści ona kilka pędów; zostawiamy trzy, a resztę usuwamy; w następnym roku przycinamy te gałązki tak, aby długość nie przechodziła 14 — 50 cm. Na każdej z trzech zasadniczych gałązek zostawiamy po trzy pędy. Następnie gałązki, które będą wyrastały na tych trzech zasadniczych, będziemy wycinać na pokarm. Tak więc z krzewu morwowego można korzystać już w piątym roku jego życia. Krzew ten żyje około 40 lat.

Wadą krzewów jest to, że dają liście w gorszym

gatunku i należy unikać dawania ich, jako zbyt wodnistych, w ostatnich dwóch okresach życia gasienic.

Morwa nadaje się bardzo dobrze na żywopłoty. Posiada wygląd estetyczny i daje zwartą zaporę.

Aby otrzymać taki płot, sadi się dwuletnie płonki w odległości 25 cm. jedną od drugiej, dwoma rzędami, odległymi od siebie o 50 cm. — mianego. W 10 dni po posadzeniu obcina się roślinki na 10 cm. nad ziemią. W ciągu lata sadzonki wypuszczają dosyć dużą ilość pędów, które następnej wiosny urosną. W czasie hodowli przycinamy je na wysokości 70 cm. Obliczając przypuszczalny zbiór liści, należy zawsze mieć na uwadze, iż żywopłot daje znacznie mniej liści, niż ta sama ilość luźno rosnących krzewów.

Przy końcu tego pobieżnego opisu hodowli morwy dodam jeszcze kilka słów o poprawie zaniedbanego stanu starych drzew. W Polsce, dzięki dawnemu Towarzystwu jedwabniczemu, które propagowało ideę sadzenia u nas morwy, mamy dosyć dużą ilość starych drzew.

Drzewa te jednak rosną naogół w wielkim zaniedbaniu. Przystępując do takiej poprawy, pierwszą rzeczą będzie oczyszczenie drzewa ostrą szczotką ogrodniczą z mchów i porostów, panoszących się na pniu i grubszych gałęziach.

Drugim zabiegiem będzie przewietrzenie korony, przez wycięcie wszystkich krzyżujących się, oraz wystających gałęzi od wewnątrz.

Stan morwy można również bardzo poprawić przez wycięcie drzew, które je duszą i nie dopuszczają promieni słonecznych. Doskonale także wpływa przekopanie ziemi tak szeroko, jak sięga korona, oraz zasilenie gnojówką, lub dobrze przegniłym nawozem, który się bardzo płytko przekopuje.

M. Saryusz-Stokowska.



NAPOJE CHŁODZĄCE

Co roku z nastaniem upałów ludność miejska i wiejska zaczyna pochłaniać olbrzymie ilości chłodnych (mających chłodzić) napojów, zaczynając od zwykłej, zimnej wody — do skomplikowanych cocktailów i cobblerów włącznie. Jest to, do pewnego stopnia, oszukiwanie samych siebie, gdyż chwilowe ugaszenie pragnienia wywołuje wzmożoną transpirację i po jakimś czasie uczucie gorąca się potęguje, a pragnienie wraca ze wzmożoną siłą.

Szczególniej użycie napoi alkoholowych, lub z dużą domieszką alkoholu, pozornie i na krótko tylko chłodzi, następnie zaś niepomniernie rozgrzewa. Zaczzerwienione, rozgrzane słońcem fizjonomje spożywców tych chłodników nabierają odcieni amarantu, a nawet fioletu, pot strugami po nich spływa, a pragnienie rośnie i, jak potępienci z Dantejskiego piekła, wołają wciąż jeszcze: „pić, pić pić!”

Tym, chwilowo tylko gaszącym pragnienie, trunkom można przeciwstawić różne owocowe chłodniki domowe i szereg codziennych napoi ochłodzonych, które, rzeczywiście gasząc pragnienie, nie posiadają takich ujemnych właściwości.

Niektóre z nich, jak na przykład zimna kawa i

czekolada, mogą być używane na śniadania i podwieczorki, zamiast tych samych napoi na gorąco, i, w taki sposób nie zwiększając ilości wypijanego codziennie płynu, nie wywołują silniejszej transpiracji. Kawę białą, nieco mocniej ocukrzoną, niż ta, którą zwykle pijamy, należy wstawić z dzbankiem na lód do zupełnego ostudzenia — na tem się kończy jej przygotowanie. Kawę czarną, aby nie utraciła aromatu, należy ugotować bardzo mocną i dopiero przed samym podaniem gwałtownie ostudzić przez wrzucenie do szklanki kawałka sztucznego lodu. Podkreślam potrzebę użycia sztucznego, a nie naturalnego lodu, gdyż ten ostatni zawiera nieraz nietylko niewinne mchy i wodorosty, lecz rozmaite inne nieczystości, widoczne dla oka ludzkiego dopiero po rozpuszczeniu się lodu, już nie mówiąc o tysiącach bakterij niewidocznych, w których liczbie mogą być zarazki chorobotwórcze.

O ile posiadamy maszynkę do kawy czarnej „Perkolator”, której dziobek daje się szczerlnie zatknąć specjalnie dopasowanym korkiem, możemy kawę wraz z maszynką wstawić na lód i ochłodzić ją zupełnie bez utraty aromatu. Wybornym sposobem podawania kawy czarnej na zimno jest wpuszczenie do szklanki z kawą kulki lodów śmietankowych, lub też, przy włożeniu do niej kawałka lodu, wlanie łyżki jakiegoś aromatycznego syropu owocowego: cytrynowego, pomarańczowego lub ananasowego.

Można też do syropu cytrynowego dodać dwie krople esencji ponczowej, co da aromat, zbliżony do mazagranu z rumem, o którym to mazagranie da się tylko tyle powiedzieć, że jest to bardzo mocna i aromatyczna kawa, bardzo osłodzona, z kawałkiem lodu i kieliszkiem konjaku lub rumu. Niektórzy jeszcze wkładają weń plasterki cytryny, co nie jest konieczne. Natomiast konieczną jest słomka, przez którą się pije ów chłodny napój, najmniej alkoholowy ze wszystkich mi znanych, alkoholem przyprawianych chłodników.

Wybornym napojem podwieczorkowym, szczególnie na wsi i dla młodzieży, która przy stałym ruchu na świeżem powietrzu potrzebuje usilnego odżywiania, jest zimna czekolada. Gotowana na mleku, lub nawet na wodzie, mocno ocukrzone i zaprawiona żółtkami, trzyma się w dzbanach lub garnkach kamiennych na lodzie aż do chwili podania na stół. Smakuje wybornie z każdym pieczywem, do czarnego chleba włącznie, i jest nadzwyczaj pożywna. Ktoby, przez oszczędność, chciał zastąpić czekoladę tańszem kakao, powinien przy gotowaniu dodawać do mleka lub wody kawałek wanilii. Samo kakao, pozbawione jakiegobądź aromatu, podane na zimno, jest nieco mdłe.

Wybornym napojem chłodzącym jest mało obecnie używany sok brzożowy. Umiejętnie brany z drzew wczesną wiosną, wielkiej szkody im nie przyczynia. Butelkowany z dodatkiem cukru, skórki cytrynowej i rodzynek, silnie musuje i przy fermentacji nieraz rozrywa butelki, to też korki przy butelkach należy mocno odrutować (zwykle zawiązywanie szpagatem nie pomaga). W lesistych okolicach Kresów Wschodnich dawniej przygotowywano całe beczki takiego soku brzożowego, który, stojąc w otwartych naczyniach, nie musował wprawdzie, lecz odbywał wolną fermentację i nabierał kwasu. Taki sok brzożowy wywożono w pole w czasie żniw dla żeńców — stanowił on dla nich przysmak nielada.

Już nieraz pisałam w „Bluszczu” o kwasach owocowych, które w gruncie rzeczy są limonjadą, musującą na skutek naturalnej fermentacji. Dziś tylko podzielę się z Czytelniczkami praktyczną inowacją, którą wypadkowo zrobiłam. Kiedyś, przy butelkowaniu kwasu chlebowego, zabrakło mi korków, resztę więc już zaprawionego płynu wlałam do dwóch butelek od sztucznej „Vichy”, zaopatrzonych w porcelanowe korki na gumowej podstawie. Sposób ten okazał się tak praktyczny, tak zmniejszył (nieomal o połowę) robotę, że nabyłam sobie kilka takich butelek i już teraz w innych kwasów nie robię. Nietylko robota jest przez to zmniejszona, gdyż unika się parzenia korków, korkowania maszynką, obwiązywania szpagatem lub drutowania — lecz osiąga się oszczędność przy używaniu kwasu. Butelkę zwykłą, raz odkorkowaną, należy wypić do dna, bo się kwas zepsuje. Butelkę z korkiem porcelanowym, po wypiciu każdej szklanki można zamknąć hermetycznie i reszta kwasu pozostaje świeża do ostatniej kropli.

Zapomnianym zupełnie chłodnikiem jest kalteszał z piwa. Parę rodzajów tego wybornego napoju daje dzisiaj w dziale przepisów.

Łatwe do przyrządzenia i nie nazbyt mocne, są różne likiery z lodem. Wprawdzie same likiery są właśnie najmocniejszymi napojami alkoholowymi, ale w połączeniu z bardzo dużą ilością lodu, działają raczej chłodząco. Przeważnie się pije w taki sposób „Peppermint”, czyli likier miętowy, jednak i wiele innych o wyraźnym aromacie, na przykład „Abricotine”, „Benedictine”, „Chartreuse”, wybornie z lodem smakuje. Należy szklaneczkę od piwa, tak zwane szampanki, napełnić do trzech ćwierci drobno porąbanym lodem sztucznym, do każdej wlać zwykły kieliszek likieru, włożyć w to słomkę i podawać.

Odmianą tego sposobu przyrządzania chłodników z likierów jest uzupełnienie szklaneczki zastudzoną na lodzie śmietanką słodką; dodajemy do niej kieliszek likieru i pijemy przez słomkę. Do śmietanki dodaje się zwykle likiery owocowe: Abricotine, Cherry Brandy, Peach Brandy, lub ich odpowiedniki domowej roboty, likiery: morelowy, wiśniowy, brzoskwiński.

Ani aromat mięty, ani dzięgla, stanowiący podstawę niektórych likierów, do śmietanki nie jest odpowiedni.

Pani Elżbieta.

Przetwory i wina owocowe, konfitury
wymagają bezbarwnego, pozbawionego melasy
i nie dającego szumowin cukru

Wymaganiom tym odpowiada

carborafinowany kryształ

Superior

który w dwóch wielkościach oraz specjalnem patentowanym opakowaniu
poleca

Cukrownia w Gnieźnie

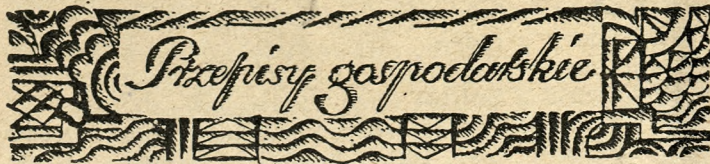
Grabski, Jescheck i S-ka Tow. Komand.

Wysyłkę drobnicową tak kryształu rafinowanego, jak i kostek rafinowanych w różnych wielkościach uskutecznia cukrownia w wadze od 50 kg.

Wysyłka wagonowa przez Bank Cukrownictwa

NAJWYŻSZE ODZNACZENIA: Medal Złoty we Lwowie 1927 r. Dyplom Honorowy—Poznań 1928 r. Wielki Medal Złoty—Powszechna Wystawa Krajowa, Poznań 1929 r. Grand Prix—Wystawa Przetworów Rolniczych we Florencji 1929 r. Grand Prix i Wielki Medal Złoty—Wystawa Wzorów Przemysłowych, Nicea—kwiecień 1930 r.

305



BUDYŃ Z WIOSENNYCH JARZYN

Pęczek marchwi-karotki, pęczek młodej kalarepki, pół kilo zielonego groszku w strączkach. Marchewkę oczyścić, przekrawać na połówki (jeśli bardzo drobna, pozostawić w całości); kalarepkę obrać ze skórki i pokrajać w cienkie płatki. Groszek wyłuskać. Z lupinek usunąć pergaminowe wnętrza i dodać do groszku. Każdą jarzynkę oddzielnie obgotować w bardzo niedużej ilości osolonej wody, odcedzić. Wodę, w której się gotowały jarzynki, zachować. Formę budyniową wysmarować masłem, wysypać bułeczką, ułożyć w niej rzędami jarzyny. Półtorej szklanki mleka ubić z trzema jajami, zalać tem jarzynki. Zakryć szczelnie pokrywą, wstawić w rondel z wrzącą wodą, gotować wolno całą godzinę. Łyżkę maki zasmażyć na biało z łyżką masła, rozprowadzić zimnym smakiem z jarzynek, zagotować, zaprawić paru łyżkami młodej śmietany, wysypać drobno usiekanego koperku i podać w sosjerce do wyłożonego na półmisek budyniu.

ŁOPATKA CIEŁĘCA NADZIEWANA

Kupując ładną, białą łopatkę cielęcą, kazać rzeźnikowi wyluzować z niej kość środkową. Namoczyć cielęcinę na pół godziny w bardzo zimnej wodzie. Sporą łyżkę masła utrzeć do białości na miseczce, wbić dwa żółtka, wysypać dobrą szklankę tartej bułeczki, garść zielonej pietruszeczki i tyleż drobno usiekanego koperku. Osolić do smaku, utrzeć doskonale, dolewając potrochu szklankę zimnego rosółu, mleka, a nawet wody. Ubić białka na sztywną pianę, zmieszać lekko z resztą nadzienia. Napęlnić tem otwór w łopatce. Zaszyć grubymi nićmi. Osolić łopatkę przed samem pieczeniem, aby mięso pozostało białe. Posmarować masłem. Wstawić w dobrze gorący piec, aby się prędko po wierzchu zrumieniła. Dalej piec w mniej gorącym piecu, polewając masłem i sosem, jaki się uformuje. Wody podlewać jaknajmniej. Na dopieczeniu obsypać tartą bułeczką. Pokrajać w ładne plastry. Do takiej cielęciny podaje się sałatę zieloną, zaprawioną czystą śmietaną.

KALTESZAL Z PIWA

Kilo aromatycznych, dojrzałych truskawek obrać z ogonków, przekrawać na połówki, przesypać czterdziestoma deka cukru-pudru, wymieszać ostrożnie, aby nie pognieść owoców,

i postawić na parę godzin w chłodne miejsce. Cwierć kilo chleba pytłowego pokrajać w cieniuchne paski, rozsypać cienką warstwą na blasze do mazurków, wstawić w miernie gorący piec, aby chleb usechł i lekko się zrumienił. Wziąć bardzo duże naczynie (jakąs ogromną wazę do zupy, lub kryształową bolę od kruszonu), przełożyć doń truskawki wraz z sokiem, który się uformował, wlać pięć butelek dobrego, jasnego piwa, włożyć dwa kilo grubo porąbanego lodu, wymieszać. Do szklaneczek-szampanek kłaść po kilka grzaneczek chlebowych i nalewać kalteszal wraz z lodem; podawać ze słomkami.

KALTESZAL MOCNIEJSZY

Pięć pomarańcz malinowych pokrajać wraz ze skórką w cienkie plastry, a każdy plasterek jeszcze na cztery części; zasypać to czterdziestoma deka cukru, zalać butelką białego wina (może być owocowe) i pięcioma kieliszkami (od wódki) konjaku, wymieszać doskonale i wynieść na chłód na godzin parę. Oddzielnie pokrajać na cienkie paski czterdzieści deka razowego lub pytłowego, żytniego chleba, podsuszyć w piecu do lekkiego zrumienienia. W dużym naczyniu zalać pomarańcze i wino czterema butelkami jasnego piwa, dodać dwa kilo drobno porąbanego lodu, wymieszać dobrze. Do szklaneczek wkładać po kilka grzaneczek, nalewać kalteszal wraz z lodem, do każdej szklaneczki włożyć grubą, pszenną słomkę i podawać. Zamiast pomarańcz można użyć truskawek lub malin, biorąc ich nieco więcej, naprzykład około kilograma. Można też, zamiast samych pomarańcz, wziąć połowę dobrych cytryn.

Pani Elżbieta.

WYTWORNE PANIE!!!

UŻYWAJĄ DLA DYSKRETNYCH PŁÓKAŃ

DAMOSAN



ESENCJĘ
KOSMETYCZNO-
ANTYSEPTYCZNA

ORYG. WYRÓB FIRMY HENRYK ŻAK, POZNAŃ.

295

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr. Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-73.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”. Rymska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Posłanki śląskie.

Od jesieni ubiegłego roku do chwil ostatnich Śląsk przeżywał ciągłe wybory: wybory do rad miejskich i wiejskich, oraz do sejmiku śląskiego.

O rezultatach wyborów mówiła prasa codzienna, oświecając je pod kątem widzenia poszczególnych ugrupowań politycznych, czy też pod kątem zdobyczy, lub strat w stosunku do Niemców.

Dlatego pominię w zupełności ogólną sprawę wyborczą, zwracając uwagę na sprawę kobiet przy wyborach.

Czyż to nie dziwne conajmniej, że na Śląsku, gdzie podtrzymywanie i budzenie polskości w czasach niewoli i szerzenie świadomości obywatelskiej, polskiej i ducha narodowego wśród mas zawdzięcza się w znacznej mierze kobiecie polskiej, na 48 posłów do sejmiku są tylko dwie posłanki: Dr. Marja Kujawska i Zofja Gruchlikowa; na 54 radnych w Królewskiej Hucie 3 kobiety radne, z tego jedyną Polką, inżynierową Natalję Harasiewiczową i dwie Niemki, z których jedna jest znana z procesu Volksbundu hakatystka p. Ernst?

Prawda, że na listach wyborczych umieszczono na prawdziwie szarym końcu nazwiska kobiece, jakby na odczepne, zgóry jednak wszyscy wiedzieli, że tylu kandydatów z danej listy nie przejdzie.

Zastanowiło mnie podczas wyborów i zastanawia do dziś, czy kobiety, zajmujące się polityką, musiały się zgodzić na takie lekceważenie polityczne, czy nie orjentowały się, że są nieszkodliwą „doczepką”, czy może wstydziły się naprawdę kandydować? A może tkwi w nas jedno, drugie i trzecie, a najwięcej fałszywej skromności i brak odwagi, cechujący nasze publiczne, pojedyncze lub zbiorowe wystąpienia? Całe szczęście, że wybrane przez nas kobiety dają gwarancję solidnej pracy na terenie sejmiku i rady miejskiej.



Dr. Marja Kujawska.



Natalja Harasiewiczowa.

Może jakością uda im się nieraz zastąpić ilość poczynąń przeróżnych, bo przecież nasze wybranki doszły do obecnych stanowisk zasługą pracy, nie drogą szczęścia lub przypadku.

Natalja Harasiewiczowa pochodzi z Małopolski Wschodniej z Tyśmienicy. Ojciec jej brał udział w powstaniu 1863 r. Po egzaminie dojrzałości zdecydowała poświęcić się nauczycielstwu z całym zapalem pracy i organizacji ducha polskiego na wsi polsko-ruskiej, to jednak tak podkopało jej zdrowie, że narzeczony jej, a dzisiejszy mąż, nie pozwolił jej dłużej pracować. Wyszędłszy zamąż, osiadła w Stanisławowie, brała intensywny udział w życiu zarówno towarzyskim, jak też politycznym i społecznym w licznych stowarzyszeniach.

Po wybuchu wojny wzięła czynny udział w organizacjach Czerwonego Krzyża na terenie Małopolski i później na terenie wiedeńskim.

Koniec wojny zastał panią Harasiewiczową w Stanisławowie, gdzie pod inwazją ukraińską nastały dla Polaków ciężkie czasy; poza brakami finansowymi, odczuwano na każdym kroku represje rządu zachodniej Ukrainy, kończące się przy lada okazji internowaniem w obozach, połączone z nieludzkimi wprost katuszami. Mimo trudności i prześladowań, zdołano zorganizować „Polski Komitet Powiatowy” dla opieki nad internowanymi i pomocy dla strajkujących urzędników-Polaków, będących zupełnie bez środków do życia; w Komitecie tym pracowała p. Harasiewiczowa niezmiennie, pomimo ciągłych rewizyj, kar i prowokacyjnych donosów.

W roku 1923 przenieśli się państwo Harasiewiczowie do Królewskiej Huty. Tu bierze p. Harasiewiczowa od początku udział we wszystkich pracach nad skonsolidowaniem i wzmocnieniem żywiołu pol-

skiego, pracuje w zarządach Kół Przyjaciół Harcerstwa, w Towarzystwie Polek, w Towarzystwie Przyjaciół Teatru Polskiego, organizuje bezpłatne kursa nauki języka polskiego dla hutników.

Obecnie ma jeszcze większe możliwości wzmacniania i uświadamiania narodowego, opartego na praworządnej obywatelskości mas ludowych na Śląsku.

Jeszcze nie urzęduje nowa Rada Miejska, a już tłumy kobiet przychodzą do p. Harasiewiczowej po radę, pomoc, w Magistracie zaś otwiera się przed nową radną wdzięczne pole do pracy.

P. Dr. Kujawska ma w rejestrze swego życia pokaźny dorobek pracy zawodowej i społecznej. Po ukończeniu Wyższego Liceum złożyła egzamin naukowy w Raciborzu, następnie egzamin dojrzałości w Wrocławiu. Od roku 1915 — 1919 studiowała na wydziale medycznym uniwersytetów w Wrocławiu i w Monachjum. W styczniu 1919 roku, z powodu działalności na polu narodowym, zmuszona była opuścić uniwersytet wrocławski i przenieść się dla dokończenia studiów na krakowski. Od października 1920 r. pracowała z ramienia Polskiego Komisarjatu Plebiscytowego w Bytomiu. Podczas 3-go powstania była lekarką na placu opatrunkowym w Rożdżeniu; i kierowniczką szpitala polowego w Toszku. Po powstaniu pracowała jako lekarka oraz prowadziła pierwszy kurs dla siostr Polskiego Czerwonego Krzyża i pracę w licznych instytucjach sanitarnych i społecznych.

Dr. Kujawska jest dziś inspektorką wszystkich przychodni przeciwgruźliczych na Śląsku. Można się spodziewać, że godnie będzie reprezentować kobiety w sejmie i bronić ich praw w sprawie ustawy celibatowej, tak krzywdzącej nauczycielki śląskie.

P. Zofja Gruchlikowa jest żoną robotnika; odważnie pracowała dla polskości przed wojną, w czasie wojny, podczas plebiscytu i teraz pracuje wytrwale w Kole Polek. Byłaby więc przedstawicielką największej masy kobiet, tych, dzięki którym rodzina zachowała polską mowę, religję katolicką, przywiązanie do tradycji i do śląskiej ziemi; kobiet, mających świadomość Polski, Ojczyzny, wspólnej wszystkim polakom bez względu na dzielnicę, z której pochodzą, kobiet, nie szczędzących trudu dla niej.

Dr. Helena Spoczyńska — Król. Huta.

W sprawie art. 141 i 142 (w odpowiedzi na artykuł p. Felicji Kowalemskiej z Krakowa,

Szanowna Pani uważa, że nie godzi się nawet zbyt wiele dyskutować na temat przerywania ciąży. Chciałabym jednak wiedzieć, czy zastanowiła się Pani nad tem, kto w dzisiejszych czasach może sobie pozwolić na większą ilość dzieci?

Weźmy więc, jako przykład, przeciętną rodzinę w Polsce; nie tę, która może sobie pozwolić na niańkę, bonę lub pielęgniarkę, ale tę, która niema żadnej pomocy, ewentualnie jedną służącą lub posługaczkę. Przychodzą dzieci, jedno jeszcze małe, już jest drugie i t. d. Jakież jest życie tej matki, od rana do rana harującej przy malcach, jakim wreszcie prawem obarcza się mężczyznę (ojca) takim ciężarem? Przecie i tak nie lekko mu zapracować na najbardziej prymitywne potrzeby życia.

Z rozbitemi nerwami, nierzadko z bólem głowy, kompletnie wyczerpany, mężczyzna ten powraca na odpoczynek do domu i zastaje atmosferę, wcale nie odpowiednią do odpoczynku i nabrania nowych sił do pracy. Spotyka go żona zmęczona, a tem samem też pogodnie nie nastrojona. W dwóch, bardzo rzadko trzech pokojach (ileż rodzin mieszka w jednym po-

koju!) nie łatwo jest utrzymać spokój i porządek, jeśli zwłaszcza matka nie ma nikogo do pomocy. Ciągła troska o jutro, wieczne kłopotanie się nad tem, jak załatać najdotkliwsze braki, zmuszają mężczyznę do szukania należytego mu odpoczynku poza domem i wkońcu małżeństwo się rozbija.

Nie dość oburzać się na tych, którzy, idąc z postępem czasu, żądają pewnych reform: trzeba być przede wszystkim człowiekiem i trzeba mieć serce!

Czyż mają serce ci rodzice, którzy pozwalają sobie na wiele dzieci, wiedząc, że dzieciom swym nie mogą dać odpowiednich warunków do życia? Jeśli Sz. Pani zapobieganie ciąży, czy też przerywanie jej, nazywa zabójstwem, to w tym wypadku będzie to zabójstwo z premedytacją, bo dzieci te będą niedokarmione, niedopatrzone, a często i nieleczone.

Uważam, że jest to już kwestja sumienia małżonków na ile dzieci ich siły i byt materialny pozwolą, i mieszać się do tego nikt nie ma prawa. Nie można też potępiać kobiet, które nie mają usposobienia „kwoczki“ i którym nie wystarcza jedynie nianienie dzieci. Trudno! czasy się nieco zmieniły. Dzieci, to cudna rzecz, to źródło radości i ogromnego szczęścia, stają się jednak katuszą i męką najlepszej matki i ojca, skoro ich jest za wiele.

Nie obniży się poziom moralny przez to, że się będzie rozsądnie uświadamiać matki, jak zapobiec większej ilości dzieci. Sz. Pani sama z pewnością ma dzieci, skoro w tej sprawie zabiera głos. Z doświadczenia więc wie, że łatwiej jest wychować nietylko zdrowiej, ale i moralniej mniejszą ilość dzieci, niż większą ich liczbę.

Są więc tylko dwa sposoby uniknięcia większej ilości dzieci, niestety, zdaniem Sz. Pani, dla dobrej katolicki nieosiągalne. Pierwszy, to po kilku latach małżeństwa przerwać bliższe pożycie z mężem, co jest niemożliwe z powodu praw naturalnych (mowa bowiem o dwóch jednostkach rozwiniętych normalnie) drugi sposób: zapobieganie lub przerywanie ciąży.

Mam wrażenie, że nie byłoby tylu nieszczęśliwych i zaniedbanych dzieci, tylu tragedj małżeńskich, gdyby się bardziej życiowo na te kwestje zapatrywano.

Wanda Majerowa.

Kara śmierci.

„Kurjer Warszawski“ z dnia 4-go czerwca 1930 roku podaje:

„Przed trybunałem sądu przysięgłych w Krakowie odbyła się rozprawa przeciwko Józefie Furdynównie, służącej z pod Mielca, która zabiła swe 5-cio miesięczne dziecko, dusząc je ziemią, włożoną do ust.

Sąd uznał Furdynównę winną i wydał wyrok, skazujący ją na karę śmierci przez powieszenie“.

Bez komentarzy.

Wanda Borudzka.

o letnisko nad morzem.

Która z Pań, mieszkających nad morzem w miejscowości o ładnej plaży, zechciałaby łaskawie udzielić mi rady lub poinformować, gdzie i jak mogłabym się urządzić niedrogo, aby móc spędzić wakacje. Prosiłabym, o ile która z Pań wie, o podanie adresu jakiegoś lokum, ceny mieszkań, obiadów i produktów żywności, albo może już kto zna sympatyczną rodzinę, któraby mię na miesiąc lipiec do siebie przyjęła? Jestem nauczycielką, wymagania mam skromne, chcę mieć nad morzem ładną plażę, a w domu spokój. Jeżeli która z Pań zechciałaby łaskawie odpowiedzieć, adres mój: Wieluń, Farma Nr. 1, Fr. Bryszewska, woj. Łódzkie, lub nadesłać odpowiedź do „Naszej Mównicy“.